



Z P O W R O T E M

Z E S Z Y T Z B I O R O W Y

W Y D A W N I C T W O

S T A N I S Ł A W A K A S Z T E L E W I C Z A

C H A R K Ó W — 1 9 1 8 r.

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA**

00 330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

S K Ł A D G Ł Ó W N Y

K S I Ę G A R N I A P O L S K A

S U M S K A № 44.

<http://rcin.org.pl>

1 P O W R O T E M

W K S I E C Z Y

STAWA KASZUBOWICZ



24,281



DRUKARNIA N. SZAJNBERGA
CHARKÓW, ulica RYBNA № 5.



<http://rcin.org.pl>

ŚWITANIEM.

Po raz ostatni zestrzelamy — w Zeszy-
cie Zbiorowym — w jedno ognisko duchy,
ostatni raz nawijamy na ojczyste krosno
wspólną — z charkowskiego posielenia —
myśli przędzę...

Jeszcze trwa bój olbrzymów. Czwarty
rok ważą się w nim losy świata. A ważą
na całe stulecia. Niedawno — jak padły na
rozbujałą, dziejową szalę nowe miecze,
w zaatlantyckich ludwisarniach kowane.

Wśród gradowych orkanów skłębionych
szrapneli krążą bez wytchnienia promieni-
ste Walkirje, znosząc dusze pobitych boha-
terów do germańskiej Walhali. Marsylski
trębacz dzwoni muzyką echową najslawniej-
szych dni nietylko po francuskich obozach,
ale dociera do stalowej, angielskiej kolum-
ny, brodzącej w minowych topielach i jado-

witych chmurach, niby w siwych powojach
ojczystej mgły.

Rozgrzany walką świat zaczyna jednak
dostrzegać, że stanął na przełęczy ludzkiego
wysiłku, odsłaniającej syzyfowe turnie. Nie
umilkł wprawdzie wobec skamieniałego ich
oblicza rolandowy róg, ale ścichło *vae
victis*, głośnie przez trzy lata na wszystkich
szanłach.

Od chwili tej dzierzga tęcza pokoju
swoje kolory na skrwawionym kołowrocie
świata. Rwie jeszcze jej przędiwo huraga-
nowy wstrząs ekrazytowych kul, targają
niem dyszące trupim zapachem niszczytel-
skie wichry, ale pokojowe blaski oplatają
coraz to wyraziściej wojenne ruiny, pokry-
wające gruzem najbliższe obszary, rzucające
jednak na całą kulę ziemską ponury swój
cień.

Uchylony dopiero złoty rąbek świtu —

a już zaczynamy pić ekstazę światła i ciepła bujnego dnia, wstającego po ciemnicy i martwocie bezksiężycowej nocy. Orlą prężą się mocą sterane tułaczką ramiona, bo poczuły rozpięte skrzydła odlotu. Słońce kaskadą, promienieje przygasły jeszcze wczoraj wzrok, bo oto dostrzega ojczyste poblizę. Zdrowiem żywej karjatydy faluje pierś suchotnicza, wdychając przecucie żywicznej woni dobroczynnej, polskiej sosny.

Wracamy — a jak zmuszeni opuszczać kraj, czuliśmy cały piołun wygnańczy, na odrywanych od domowego progu ustach, tak teraz odczuwamy — wciąż jeszcze zdala od kraju — całą jego słodycz i rozkosz. Tak kochającym i wytrwałym płaci Opatrzność wiecznie sprawiedliwa zadatkem radości na obczyźnie za ból i mękę, poczęte w ojczyźnie.

Wracamy... Na dźwięk tego słowa buduje w duszy naszej miłość i tęsknota kalejdoskop ojczysty, tułaczami łzami uświęcony. Cisną się i tłoczą rodzinne obrazy, nadlatują mary złociste, harfy anielskie dociągają strun do pastuszej ligawki i skrzypki wioskowej. Niebo pomięszalo się z ziemią polską.

Czujemy na ustach pocałunek słońca,

kraszącego promienistą glorią blanki i wieżyce Warszawy, strażującego u wawelskiego mauzoleum, układającego w sitowiach Gopła do snu głowę złocistą. Migoczą nam w oczach wiatrakowe śmigły, błyszczą sierpy żniwiarzy, nawet w cygańskiej kuźni, na wygonie pod lasem, wybija stalowy młot melodję taką bliską i swojską. Toniemy każdym zmysłem w zaczarowanym wiarą rychłego powrotu zwierciadle, przybliżającym wizerunek ojczystych hal i rodzinnych piargów.

Nie trwożą nas ani zgliszczą i wojenne pustkowia, ani smutne cmentarne wirydarze. Lżej na ojczystych grobowcach siadać, aniżeli zalegać obce parki i plaże. Lżej rozbijać bryły domowej pogorzeli pod zrąb nowej chaty, aniżeli nurzać palce w złotym trzosie, wiążącym nas niepodzielnie z obczyzną.

Jakże ta miłowana wygnańczą jaźnią ziemia polska jest dziwnie podobną do gwiazdzistego niebieskiego stropu. Im dłużej wpatrujemy się w oświetlone przestworze, tem więcej dostrzegamy z każdą chwilą gwiazd, jakgdyby jakaś czarodziejska ręka wypędzała coraz liczniejsze, brylantowe stada, z szafirowego namiotu miesięcznej

nocy. I Ojczyzna, im z dalszego tęsknimy do niej wygnania, im strzelistsze szlemy ku niej akty, tem więcej odsłania żniw błogosławionych, skarbów ukrytych, drgnień świetlistych, poruszających wciąż biegnącą po tarczy ludzkiego mozołu wskazówkę życia.

U ojczystego pogranicza powita nas gwiazda, lśniaca nad inne blaskiem meteorowym. Nie świeciła ona, gdyśmy wychodzili z kraju w świat daleki. Wieść tylko radosna dochodziła u niej do ziemi wygnania.

Jutrzenka wolności...

Zapaliła ją na niebie wojna, a cud dziejowy sprawił, że ustawione przy polskiej płycie grobowej strażę, broń prezentują przed jej blaskiem. Cud dziejowy, z męczeństwa narodowego poczęty, z bohaterskiego ofiarnictwa, niedopuszczającego w historii praw zadawnienia

Legion ich był, polskich gladjatorów, pozdrawiających ojczyznę wszędzie, gdzie tylko krew się lała na arenach świata. A chrzcicielem był im: Rejtan, Traugut i Piłsudski, a poświęcanej wody do chrzestnej kruży dostarczały zaczerwienione fale: Tybru i Niemna, Elstery i Wisły, Berezyny

i Warty. Od hufców Dąbrowskiego, budzących groby Scypionów i Cezarów, po partyzanckie oddziały, idące przy styczniowej pochodni w mogilne bory szukać świętojańskiego ziela na ojczyste ołtarze, od grochowskich bagnatów po krechowieckie koncerze — nie brakło nigdy Nieśmiertelnej ochotnych dziedziców Kościuszkowskiego testamentu.

Dopełniła się na ziemi polskiej ofiara Abrahamów i Izaków w sposób, jaki nigdy nie przewidziała biblia zadnego narodu, ale bramy piekielne europejskiej racji stanu nie przemogły opoki Piastów i Jagiellonów.

Od królewskiego zamku w Warszawie, od witraży Marjackiego kościoła, od wszechnicy Kazimierzowej biją dziś na kraj nasz tryumfalne światła i promienieją na świat cały. Bo oto zmartwychwstajemy w chwili, kiedy dzieje poczynają, miast mieczowych spiży, złote wagi praw kłaść na okładzinach nowej księgi ludzkości. Te same, które ciągną się przez wszystkie karty naszej narodowej kroniki. Bo szczerbiec Bolesławów był tylko probierzem siły polskiej Armady, ale jej symbolem i żaglem był pierścień Jadwigi, była tajemnica, wydarta przez Kopernika gwiazdzistym wirom, były te

wielkie idee i hasła, które zdołaliśmy ręką już pętaną spisać w majowych pergaminach.

Wartość i cena odkupienia naszej ojczyzny kreślą rozmiar i wagę naszych wobec niej obowiązków.

Świta...

Coraz to bliżej dzwonią sygnały powrotu.

Strzegący wawelskiego dworu Sinaj objawia nam w krzewie laurowym złote tablice ojczystych praw.

Ślubowaną im na obczyźnie wierność, zachowajmy do zgonu w Ojczyźnie.

Alfred Brandowski.



KONKURS „KOŁA PAŃ“ I „LUTNI“ W MOSKWIE.

GODŁO: KITARED

I-sza NAGRODA

SŁAWA KOŚCIUSZCE

„Liberté, Egalité, Fraternité“
(Hasła Wielkiej Rewolucyi).

CHORUS TRIUMPHALIS

I.

KORYFEUSZ: „KOŚCIUSZKO, GDY BITWY GŁOSY
ŚCICHŁY NA POLU RACŁAWIC
I WYSUNEŁY SIĘ KOSY
Z ROZWARTYCH POŚMIERTNIE PRAWIC—
A WIARA CHŁOPÓW TYMCZASEM
PRZYWŁOKŁA ZDOBYTE DZIAŁA,
STANEŁA PRZY TOBIE LASEM
I SŁOWA TWEGO CZEKAŁA...

TYŚ WŁOŻYŁ SUKMANĘ BIAŁĄ
 ZA WROGA SKRUSZONY NAPÓR,
 I PRZEMIENIENIE SIĘ STAŁO!
 TO BYŁA TWA GÓRA TABOR —

— — — — —
 A POLSKA LŚNIAĆ W NOWIU SIERPIE
 JUŻ Z MEKĄ ZNIEŚĆ MOGŁA ZABÓR
 I Z LUDEM RZEC: WSZYSTKO ŚCIERPIE!
 TO BYŁ JEJ SZCZYT: GÓRA TABOR —

II.

CHORUS: „MÓWIMY: SŁAWA KOŚCIUSZCE,
 SŁAWA — SŁAWA — “

KORYFEUSZ: „KOŚCIUSZKO, CZCI POLSKIEJ STRÓŻU,
 TY PŁOMIENISTY NASZ DUCHU,
 WULKANIE KOPCA NA WZGÓRZU,
 NIE ZGASŁY W POWSTAŃ WYBUCHU —
 TY KRYPTY WAWELSKIEJ WRÓŻU,
 USŁYSZ NA LAURÓW PODUSZCE,
 GDY ŚWIAT BRZMI: SŁAWA KOŚCIUSZCE—
 SŁAWA — SŁAWA — SŁAWA —

CHORUS: „MÓWIMY: SŁAWA KOŚCIUSZCE —
SŁAWA — SŁAWA — “

KORYFEUSZ: „ŻE BYLEŚ BRATERSTWEM CZASÓW,
ŻE, WODZU, DLA TWYCH ZAPASÓW,
POLSKICH SERC PRÓCHNO OD SASÓW,
ZMIENIŁEŚ W SZLACHETNE KRUSZCE;
MÓWIMY: SŁAWA KOŚCIUSZCE —
SŁAWA — SŁAWA — “

CHORUS: „MÓWIMY: SŁAWA KOŚCIUSZCE —
SŁAWA — SŁAWA — “

KORYFEUSZ: „ŻE CIĘ CHWALEBNIK SZLACHCICU
RÓWNOŚĆ W SUKMANĘ UBRAŁA,
W TWÓJ DZIEŃ PRZEMIENIENIA CIAŁA,
BY LUD KOSAMI WZIAŁ DZIAŁA —
ŻEŚ DUCHA TEGO MIAŁ W LICU
I NIÓSŁ JAK SAKRAMENT W PUSZCE,
MÓWIMY: SŁAWA KOŚCIUSZCE —
SŁAWA — SŁAWA — “

CHORUS: „MÓWIMY: SŁAWA KOŚCIUSZCE —
SŁAWA — SŁAWA — “

KORYFEUSZ: „ŻE KRAJ ZNA TARGÓW NIEZDOLNOŚĆ —
 ŻE POLSCE NIE ŻYĆ JAK SŁUŻCE!
 ŻE STAŁA PRZY TOBIE WOLNOŚĆ
 NA POLSKICH TERMOPYL DRÓŻCE —
 MÓWIMY: SŁAWA KOŚCIUSZCE —
 SŁAWA — SŁAWA — “

CHORUS: MÓWIMY: SŁAWA KOŚCIUSZCE —
 SŁAWA — SŁAWA — “

III.

KORYFEUSZ: „KOŚCIUSZKO, CZYŚ ZABYŁ ŻALE
 GDYŚ ROZSTAŁ SIĘ Z ŁEZ PADOŁEM?
 CZY W GWIAZD WĘDRÓWCE
 SAM BÓG CIĘ O GENERALE!
 UCZYNIŁ SWYM ARCHANIOŁEM
 BYŚ WIÓDŁ MU HUFCE?

„CÓŻ MOŻESZ BRONIĆ WYŻSZEGO
 NAD WOLNOŚĆ! GDZIE DUCHA STRZEGĄ
 Z PALMAMI ŚWIĘCI —
 CZY W CWALE, DRÓG MLECZNYCH WYDMA,

ZNÓW POLSKI NIE WSTAJE WIDMO
W TWOJEJ PAMIĘCI?

„W PRZEGLĄDZIE NIEB KOŃCZĄC JAZDĘ,
PLANETĘ W OGNIU JAK GWIAZDĘ,
UWAŻ SPOKOJNY,
NA BOSKIEJ RADZIE MÓW DUCHU,
ŻE, PÓKI POLSKA W ŁAŃCUCHU,
ZIEMIA CHCE WOJNY!“

CHORUS: „SŁAWA KOŚCIUSZCE — SŁAWA — “

ECHO: „SŁAWA — — — “

Franciszek-Xawery Pustowski.



TADEUSZ KOŚCIUSZKO.

Sto lat upłynęło od chwili, gdy zdala od ojczyzny, w gościnnym kraju wolnych Szwajcarów zmarł jeden z największych mężów, jakich wydała nasza ojczyzna, twórca irredenty polskiej—Tadeusz Kościuszko.

Nie ma osobistości w całej naszej historii, która tak silnie jak on, zrosła się w pojęciu masy narodu z myślą o zbrojnej walce za odzyskanie niepodległości. Do dziś w każdym niemal domu polskim, jako symbol łączności tego domu z ideą narodu, wisi którykolwiek z tak bardzo rozprzestrzenionych obrazów, przedstawiający portret naczelnika, lub najważniejsze momenty jego działalności—przysięgę krakowską, Raclawice czy Maciejowice.

Kościuszko—*mit* oddał narodowi, podtrzymując w stuletnią noc niewoli hart ducha polskiego, większe może jeszcze usługi, niż Kościuszko—*człowiek*, który przecież ocalił honor Polski w chwili rozbiorów i zapoczątkował rewolucyjną obronę kraju, która przez lat 70 podtrzymywała i gruntowała w masie ludowej świadomość narodową, a dla pokoleń późniejszych staje się

jedną z tych wartości, które wiążą społeczeństwo w całość moralną z równą prawie siłą, jak geograficzne i ekonomiczne czynniki.

Naród aby żyć, aby zdobyć siły moralne, które go czynią odpornym na zewnętrzne ciosy, musi posiadać pewną świetlaną tradycję historyczną, ważniejszą często, lub przynajmniej równie ważną, jak tradycje i dorobek kulturalny. Czem dla Francji była wielka rewolucja, która trzyma przy tym narodzie obcoplemienną Alzację, lub Korsykę, czem dla Ukrainy wojny kozackie, a dla Czech husyckie — tem pozostać na zawsze dla nas krwawa, pełna katastrof i porażek — ale etycznie wielka epoka 1791—1863 roku.

Na przykładzie niedalekiego wschodniego sąsiada możemy zobaczyć, jak nisko stoczyć się może w chwili próby naród, który tradycji walk o wolność nie posiada, jakkolwiek wielkimi byłyby zapasy jego sił.

Do powstania Kościuszki wartości tych Polska nie stworzyła, Rzeczpospolita szlachecka, której obywatelami był tylko minimalny odsetek narodu, dumnie wypierający się nawet wspólnego pochodzenia z wielomiljonową masą ludową (wywodzoną

z całą naiwnością od biblijnego Chama) stworzyć nie mogła.

Człowiekiem, który mógł tak silnie wzbudzić się nad powszechny przesąd i ugruntować przyszłość na fundamencie niewzruszonym milionów obywateli, mógł być tylko człowiek, nie tylko przerastający środowisko umysłowo, ale posiadający ponadto siłę nie dającą się wyliczyć, ale dającą się wyczuć — wewnętrzną siłę świętości.

Wiedzę nią z każdego słowa i każdego czynu Naczelnika; każdy krok jego świadczy o wewnętrznym zrośnięciu się z ideą wolności, braterstwa ludzi, nieskazitelnego honoru, a przede wszystkim miłości ojczyzny. Odczuwają ją nie tylko obojętni widze, ale nawet i wrogowie, czy będzie to carski urzędnik, prowadzący śledztwo Samojułowa, czy pan i bóg dziesiątków milionów niewolników — samodzielnca Paweł I. Z wszystkich, którzy się z Kościuszką zetknęli, jeden tylko nie uległ czarowi tej świętości — ale tym wyjątkiem był obdarzony demoniczną potęgą geniuszu Napoleon.

Kościuszko urodził się w Mereczowczyźnie na Litwie w 1746, w epoce saskiej, w okresie największego państwowego, moralnego i umysłowego upadku Polski.

Pochodził z rodziny białoruskiej, oddawna spolonizowanej. Klasa, z której wyszedł, szlachta ziemiańska *nati et possessionati*, ekonomicznie niezawisła od rządzących rzeczpospolitą magnatów, odczuwała najżywiej wraz z mieszczaństwem, przynajmniej w swoich najszlachetniejszych przedstawicielach, upokarzające i haniebne położenie, w którym znalazł się kraj, pogrążony w anarchii i ciemności.

Od faktycznego udziału w rządach była ta klasa oddawna przez oligarchów usunięta, odczuwała zato dotkliwie gospodarkę obcych ambasadorów, ustawiczne przemarsze, połączone z gwałtami i rabunkami, na jakie pozwalają sobie przez cały wiek XVIII wojska sąsiednich mocarstw, mało dbając o uroczyscie ogłaszana, podczas każdej z niezliczonych wojen tego okresu, neutralność sejmu polskiego.

Bo też ówczesne państwo polskie niczem nie mogło na zewnątrz wzbudzić szacunku. Materjalna jego siła była równa zeru, wojsko zredukowane do 24.000 w teorii, nie istniało w rzeczywistości nawet w trzeciej części tej ilości i stało się ponadto tylko malowniczą dekoracją niezliczonych pomp i uroczystości, którymi zabawiali się

hetmani, sami nie posiadający najsłabszego pojęcia o sztuce wojennej. Skarb bez budżetu, nawet bez rachunków, świecił pustkami, ciała prawodawcze, od sejmu zaczawszy— a na sejmikach kończąc, zupełnie rozstrojone przez „liberum veto“, sądownictwo charakteryzuje dostatecznie przysłowie „Nierząd jak w trybunale“.

W czasie jednak największego upadku powiał od zachodu, z racjonalistycznej Francji, przeżywającej swój przedrewolucyjny okres kulturalny, nowy prąd, przyjmowany z razu przez domową ciemnotę z największą niechęcią i nieufnością. Z Leszczyńskim i Konarskim zawitała u nas „zaraza francuszczyzny“ — dla płytkich umysłów tylko zmiana stroju i mody, dla głębszych zawieranie kontaktów z europejską kulturą, której ogniwiem była Polska wieku XVI, ale od której daleko odrzucił nas wiek XVII i pierwsza połowa XVIII. Nie można dość silnie podkreślić znaczenia działalności tej garstki ludzi, niosących promyk światła wśród panujący, zdawało się, beznadziejny mrok. Nowe zasady filozoficzne, stawiające ponad wszelkie kryterja rozum ludzki i głoszone zasady etyczne jak najwięcej szczęścia dla jaknajwiększej ilości ludzi, zasady

których ówczesna Polska, bigoteryjna, ciemna i anarchiczna, była żywym kontrastem, okazały się żywotne: przyjęły się żywo w pokoleniu, wychowanym przez Konarskiego. Część przynajmniej społeczeństwa rozumiała, że stoi nad przepaścią, że koniecznym jest odrodzenie.

Na przeszkodzie stały jednak nie tylko zawady wewnętrzne, ciemnota masy i interesy oligarchów, ale i przemoc zewnętrzna; obca gwarancja. Odradzająca się Polska potrzebowała siły zbrojnej, któraby zmusiła obcych, przywykłych widzieć w Polsce tylko przedmiot targów dyplomatycznych, liczyć się z jej głosem. Co było więc najzdrowszego, najszlachetniejszego w narodzie, szło do szkół wojskowych. Tą drogą poszedł Tadeusz Kościuszko, wstępując do korpusu kadetów, mającego wykształcić kadry oficerskie dla armii polskiej.

Nie była to wówczas droga kariery. Stan oficerski był u ogółu szlachty, odwykłej od wojskowości niepopularny i mało ceniony. O znaczeniu w kraju rozstrzygały tylko majątek, koligacje i urzędy w pojęciu starszlacheckim. Umysłowo zato i duchowo przerastał ten stan, z którego wyszli wielcy bojownicy doby Kościuszkowskiej,

legionów i księstwa warszawskiego, społeczeństwo swoje o całą głowę. Dowody tego dał podczas tryumfu Targowicy, kiedy zbiorowo złożył rangi, w chwili, gdy nawet twórca konstytucji 3-go maja, Hugo Kołłątaj ugiął się przed zwycięzcami.

Tu w szkole kadeckiej krystalizowała się ideologia późniejszego wodza kosynierów. Z korpusu kadetów i z podróży po Mece wolności i światła, „filozoficznej“ Francji, wrócił Kościuszko zdecydowanym demokratą i republikaninem, czego dowody widzimy w stosunku do jego pańszczyźnianych poddanych w rodzinnych Siechnowiczach. Do charakterystycznych cech Kościuszki należało bowiem, że nie oddzielał nigdy teorii od praktyki — jego ideologia była jego życiem codziennym, a nie odświętną, obchodową ozdobą.

Spotkał w tym czasie Rzeczpospolitą straszny gromowy cios: pierwszy rozbiór, który wydarł jej najbogatsze prowincje: województwo ruskie i południową Małopolskę (Galicja) z jednej strony, Prusy królewskie wraz z dostępem do morza z drugiej.

Ale młody kapitan inżynierji szpada swą służyć ojczyźnie nie mógł — nie żądała

jego usług: rozbiór dokonany został za zgodą sejmu przy opozycji kilku tylko posłów.

Osobisty zawód w miłości i nieszczęścia krajowe pchnęły naszego bohatera do wyjazdu z Polski i Europy na drugą półkulę, gdzie służyć mógł ogólnołudzkiej sprawie wolności, wobec niemożności oddania swoich usług krajowi.

Tam świeżo formujący się dopiero naród, dotychczasowe kolonie angielskie północnej Ameryki, wprowadzały w czyn hasła wolności i równości, rzucone przez francuskich filozofów, hasła dla których tak żywo biło serce późniejszego naczelnika, a których w ojczyźnie realizować nie było można.

Nowy Świat dawał Europie wielką praktyczną naukę urzędnictwa państwa przez rewolucję na nowych podstawach, bogaty był w zapał i w ludzi, ale biedny, w stosunku do swego przeciwnika — Anglii, w środki techniczne i oficerów.

Stanowisko, jakie zajął w armii amerykańskiej Tadeusz Kościuszko było trudne i odpowiedzialne, nie zapowiadało ani laurów, ani rozgłosu. Jako pułkownik inżynierji kierował robotami fortyfikacyjnymi niezmier-

nie ważnych pozycji West-Point, kryjących cały front krainy Wyżyn, on budował szan-ce Saratogi, pod którymi spotkała pamiętna katastrofa wojska wojska Bourgoyna, miał więc wybitny udział w pierwszym wielkim tryumfie oręża amerykańskiego, który stał się punktem zwrotnym w wojnie.

A jednak o zasługach Kościuszki przypominano sobie dopiero później; podczas kampanii nie awansował, choć odznaczył się zdolnościami, męstwem (w wyprawie na Charleston) i rzadką umiejętnością postępowania z ludźmi i przystosowania się do bardzo trudnych warunków milicyjnej armii amerykańskiej, w których nie umieli się znaleźć oficerzy francuscy.

Przyczyną braku awansu była niezwykła skromność Kościuszki, który swoich zasług nie tylko nie rozgłaszał, ale wręcz krył się z nimi, a od wszelkich zaszczytów i osobistych tryumfów wprost uciekał.

Przypominano sobie jednak o nim przy ukończeniu wojny: Kongres specjalnym dekretem nadał naszemu bohaterowi rangę generał-majora i znaczną posiadłość ziemską, z której on jednak nigdy nie skorzystał. Zapisał ją później na cel wykupna i oświaty niewolników murzyńskich.

Po powrocie do kraju gospodarował pewien czas w Siechnowiczach, ale wkrótce formacja 100.000 armii, uchwalona przez sejm czteroletni, otwierała mu pole pracy w kierunku, w którym ciągnęło go uzdolnienie i powołanie.

Uzyskał stanowisko generał-majora i komendanta brygady w nowej armii narodowej i z całą energią i gorliwością zabrał się do pracy.

Czas naglił i praca szła gorączkowo. Sejm czteroletni rzucił gwarancję rosyjską, krępującą samodzielny rozwój kraju i przeprowadzał reorganizację całego życia państwowego w warunkach niezmiernie ciężkich. Główny nerw państwa—skarb był nie tylko pusty, ale musiał być organizowany współcześnie z instytucjami, które się na nim opierały; reformatorzy — stronnictwo „patriotyczne“ stanowiło w kraju znaczną mniejszość, działaczom nie zbywało na dobrej woli, ale zupełnie prawie na doświadczeniu, a powodzenie reformy zależało od szybkości i sprawności. Sejm rzucił rękawicę Rosji i Austrii, skrępowanym wojną turecką, ale wiadomości z placu boju skłaniały do pośpiechu: armia otomańska ponosiła klęskę po klęsce, wojna kończyła się,

a do Petersburga kołatała nieprzejednana opozycja sejmowa z Potockim, Branickim i Rzewuskim na czele.

Nie dziw w takich warunkach, że stronnictwo patryjotyczne uchwyciło się tak nieprawdopodobnej kombinacji, jak sojusz z Prusami, państwem zainteresowanym w wyższym stopniu niż sama Rosja w upadku Rzeczypospolitej, że tak kurczowo trzymało się tego sojuszu, gdy dla wszystkich w Europie stało się już jasnym, że król pruski zawarł ten sojusz tylko po to, aby pchnąwszy Polskę w nierówną wojnę, spowodować nowy rozbiór i wziąć w nim udział.

Wojna zastała przeto Polskę zupełnie nieprzygotowaną; armii brakowało wszystkiego: nie było ani połowy planowanego składu liczebnego, brakowało wyćwiczenia, oficerów, magazynów, broni i amunicji. Południowa armia (ks. Józefa Poniatowskiego), do której należała brygada Kościuszki, liczyła najwyżej 32,000 na prędce sformowanego wojska, przeciw dwa razy liczniejszym, doskonale stosunkowo zaopatrzonemu i ostrzelanemu w zwycięskich bojach, zastępom Kachowskiego.

Mimo całego bohaterstwa Polaków,

wojna przybrała przeto obrót, jaki przybrać musiała: armia wśród ustawicznych krwawych i chlubnych bojów odstępowała w głąb Rzeczypospolitej.

Wśród klęsk i niepowodzeń pełnym blaskiem zajaśniał talent Kościuszki, szczególnie w uporczywej obronie w bitwie pod Dubienką, gdzie długo i skutecznie opierała się jego brygada czterokrotnie przewyższającym siłom nieprzyjacielskim.

Ale bohaterstwo Kościuszki i jego towarzyszy broni nie mogło ocalić ojczyzny, na którą sypały się coraz nowe gromy: Prusy zrzuciły maskę, działacze sejmowi upadli na duchu i spadł cios ostateczny: król, salwując swe stanowisko, przystąpił do Targowicy, której wodzowie wlekli się w głąb kraju w taborze zwycięzców. W drzazgi rozbito dzieło wielkiego sejmu, zdrajcy otrzymywali od carowej hojne nagrody, zapanowała dawna anarchia i zależność od obcych—Kościuszkowi i inni oficerowie z ks. Józefem na czele złożyli szarżę, nie chcąc pozostawać pod komendą ludzi, których jedyne miejsce na szubienicy, jak się wyraził jeden z wnoszących dymisję. Wraz z przywódcami stronnictwa patryjotycznego opuścił Kościuszkowi kraj

i wyjechał za granicę, czekając tu na chwilę, gdy znowu poświęcić będzie mógł swą szpadę Ojczyźnie.

Tymczasem wypadki poszły dalej, niż przypuszczali i niż chcieli sami Targowiczanie. Rosja i Prusy nie zadowolily się przywróceniem Polsce dawnego ustroju, ale dokonały nowego rozbioru kraju. Tym razem lwia część przypadła Rcsji (Ukraina, Podole, połowa Wołynia i połowa Litwy), Prusy wzięły Gdańsk, Toruń i całą Wielkopolskę.

Z potężnej niegdyś Rzeczypospolitej pozostał okaleczony kadłub, niezdolny do życia, ale i ten miał tylko byt prowizoryczny: pozostawał w zastawie wojsk rosyjskich, dokądby nie zlikwidowała się tocząca się na zachodzie burza wojen rewolucyjnych, mógł być w każdej chwili funduszem, z którego płaconoby kompensacje za wzajemne usługi, a ewentualnie za straty poniesione w koalicyjnej wojnie wszystkich monarchów przeciw rewolucyjnej Francji. Teraz Polacy, chwytając za broń, nie ryzykowali już niczem; najgorszy wynik walki mógł wywołać tylko te same skutki, co bierne poddać się losowi.

W garnizonach nierozbrojonych jeszcze oddziałów wojska polskiego i po głównych miastach powstała organizacja spiskowa, mająca przygotować nową walkę. Rozpaczliwe warunki zmusiły Rzeczpospolitą do odbycia w kilka lat ewolucji, na którą normalnie trzebaby lat dziesiątków — przez okres sejmów czteroletniego przebiegła Polska okres od średniowiecznej anarchii (do której wróciła w epoce saskiej) do nowoczesnego państwa, w pojęciu wieku XVIII. Teraz w kilka miesięcy dokonała nowego skoku naprzód: zbliżała się ideowo do przodujących wówczas demokracji: amerykańskiej i francuskiej. Nowa walka miała być zorganizowana tak, jak obrona obu tych demokracji. Kampanja 1792 r. okazała, że bohaterska obrona armii nie wystarczyła; postanowiono poruszyć do boju cały naród, nietylko szlachtę, ale i masę chłopską, dotąd nie mającą żadnych do obrony państwa obowiązków, bo żadnych praw ludzkich, a tem mniej obywatelskich, nie posiadała.

Na naczelnika powstania powołała organizacja generała Kościuszkę, wsławionego bojami dubieńskimi i posiadającego podwójną praktykę w prowadzeniu armii czynnej

i organizowaniu armii ludowej, jaką operowała republika północno-amerykańska.

Ogłoszona przez ambasadora rosyjskiego Igelströma redukcja wojsk polskich, przyspieszyła wybuch. Wykonanie jej uniemożliwiłoby ostatki regularnej armii. Kawaleryjska brygada Madalińskiego, rozłożona nad Narwią, odmówiła jej dokonania i szerokim łukiem omijając zajęta wojskami rosyjskimi Warszawę, przedarła się ku Krakowowi. Rosjanie zaczęli natychmiast ściągać wojska w większe masy, opuszczając wiele okolic, między innymi wysunięty na kraniec południa Kraków. Tu przybył bez przeszkody Naczelnik i 24 marca 1794 r. złożył wiekopomną przysięgę, powołując równocześnie pod broń wszystkich obywateli kraju w wydanym tegoż dnia manifestie powstańczym.

Naczelnik otrzymuje władzę dyktatorską, jakiej nie posiadał w Polsce nikt, od czasów Piastów.

Przed Kościuszką stały, poza bezpośrednią walką z siłami rosyjskimi, dwa wielkie zadania: stworzenia z nielicznych kadrów wielkiej armii, którąby zaborcom przeciwstawić było można i reorganizacji społecznej wsi polskiej, która dostarczyć miała

mas żołnierza. O niemożliwość w danych warunkach rozwiązania tych zadań—rozbiło się powstanie. Porażka jednak nie świadczy przeciw zdolnościom, planom, ani energii Naczelnika i jego towarzyszy.

Mimo nierównych sił tworzył z razu zapał cuda: 4 kwietnia garść zebranego w Krakowie wojska i pospolite ruszenie chłopskie z okolicy, uzbrojone w kosy, pobiło na głowę silny oddział generała Tormasowa, który zastąpił mu drogę pod Racławicami. Na wieść o zwycięstwie ruszyły się główne miasta: Warszawa i Wilno. W obu tych stolicach odniósł licho uzbrojony lud w Warszawie pod wodzą szewca Kilińskiego, w Wilnie najskrajniejszego w Polsce Jakóbina—pułkownika Jasińskiego, świetne zwycięstwa nad regularną armią rosyjską, którą w Warszawie zniszczono prawie doszczętnie 17 kwietnia i płomień powstania ogarniał coraz to nowe województwa

W tym momencie tryumfu ogłasza wódz naczelny wiekopomny manifest poleński (7 maja 1794 r.).

Manifest usiłuje rozwiązać kompromisowo najtrudniejszą kwestję — sprzeczności społeczne na wsi, pociągając do powstania

chłopa, a nie rzucając szlachty w ramiona nieprzyjaciela.

Po pierwszych powodzeniach szczęście zaczęło opuszczać polskie hufce. Na placu boju zjawiała się przerzucona z frontu francuskiego armia pruska pod wodzą niedawnego sprzymierzeńca Polski — Fryderyka Wilhelma. Dziwne złudzenie co do neutralności Prus, w którym powstanie trwało dosłownie do minuty bitwy — kosztowało Kościuszkę krwawą klęskę pod Szczekocinami.

Ale po klęsce zajaśniały pełnym blaskiem, hart woli i zdolności Naczelnika.

Upórczywa obrona Warszawy przeciw zjednoczonej armii prusko-rosyjskiej (13 lipca—6 września) należy do najświetniejszych czynów Kościuszki. Równoczesna partyzantka Dąbrowskiego w Wielkopolsce, uwięczona przechwyceniem pruskich parków i zwycięstwem bydgoskim, skłoniła króla do zwinięcia oblężenia i powrotu na zachód, gdzie sytuacja koalicji, po przerzuceniu Prusaków na front polski, przybrała obrót rozpaczliwy. Siły prusko-austrijacko-angielskie poniosły tam jednak walne klęski, nim król pruski zdążył i Polska uzyskała mimowol-

nie wobec Francji rozstrzygającą być może zasługę w odparciu najazdu.

Warszawa i Bydgoszcz były to ostatnie sukcesy powstania, siły były zbyt nierówne, na placu boju zjawiał się z nowymi siłami Suworow, wkrótce tak krwawo wsławiony pod murami Warszawy.

Armie Zajęczka pod Chelmem, a Sierakowskiego pod Brześciem poniosły ciężkie porażki, powstanie litewskie, gdzie zacięcie walczył lud wiejski, zalano w potokach krwi.

Aby uprzędzić połączenie Suworowa z operującą osobno armią Fersena, która przeszła na prawy brzeg Wisły, wyruszył Kościuszko z Warszawy i zaatakował Fersena pod Maciejowicami (10 października). Skutkiem niedbalstwa, czy też zdrady generała Ponińskiego, który miał Rosjan okrążyć i uderzyć w tył, a pozostał bezczynnym, armia polska poniosła zupełną klęskę, a Naczelnik po rozpaczliwej osobistej walce, pięciokrotnie ranny, wzięty został do niewoli.

W ostatnich aktach rozgrywającego się dramatu (szturm i rzeź Pragi, kapitulacja Warszawy, wymarsz wojska na zachód i rozbrojenie jego pod Radoszycami) nie brał już Naczelnik udziału.

Zrazu przebywał jako więzień polityczny w Petersburgu aż do śmierci carowej i obok niegających się ran, przenosić musiał wszystkie uciążliwości carskiego śledztwa, które zniósł z godnością, biorąc całą winę na siebie i nie wydając nikogo— a nie dopuszczając się przytem żadnego kłamstwa.

Amnestjonowany przez Pawła, złożył przysięgę wierności, nie aby ratować siebie — mieszkał już wówczas w wygodnym pałacu Orłowa—ale aby ulżyć losowi 12000 towarzyszy broni, jęczących po różnych więzieniach i miejscach zsyłki—od Petersburga po Kamczatkę.

Pochód jego przez Europę był pochodem tryumfatora. Z czcią i uwielbieniem witali go nietylko obojętni Szwedzi, ale nawet dawni wrogowie — Anglicy.

Ameryka powitała Kościuszkę z entuzjazmem. Nie było mu jednak sądzonem przebywać długo za Oceanem. Nadzieja służenia ojczyźnie odwołała go do kraju.

Rozczarował się jednak. W gwiazdę Napoleona, a bardziej jeszcze w dobre chęci boga wojny, nie uwierzył stary republikanin.

W 1806 r. wezwany przez Napoleona Kościuszko do organizacji powstania, przedstawił swoje warunki: 1) ustrój konstytucyjny na wzór Anglii; 2) zniesienie poddaństwa i 3) granice z przed rozbiorów. Napoleon żądał posłuszeństwa, a nie przymierza i rokowania rozbiły się.

Ostatnie lata spędził Kościuszko w Szwajcarii, oddany usługom ludzkości i filantropii.

Kościuszko wyszedł z walki pokonany, ale wszczęta przez niego walka zbrojna przeciw zaborcom nie ucichła, wsparta o granitowy fundament ruchu ludowego. Pomnażało ją każde pokolenie, każda klęska i następujące po niej represje poruszały coraz szersze masy narodu.

Nie dożył Kościuszko tego szczęścia, co bohaterzy wolności: Włoch Garibaldi, Ameryki półn. Washington i połud. Bolivar, zobaczenia realizacji swego dzieła, ale mniej szczęśliwy od nich, okazywał ten sam patryjotyzm, niezłomny hart, idealizm w ocenie ludzi, tak ważny, aby zdobyć siłę wewnętrzną do budowania ich życia w nowym lub odrodzonym organizmie i na nowych podstawach społecznych.

Awicz.

KONKURS „KOŁA PAŃ“ I „LUTNI“ W MOSKWIE.

GODŁO: SZEREGOWIEC

II-ga NAGRODA.

KOŚCIUSZKO.

MIAST HARCAPÓW I ŻABOTÓW,
MIAST KONTUSZÓW I WYLOTÓW
WÓDZ SIERMIĘGĘ WDZIAŁ —
BO PAN SZCZĘSNY MIAŁ STRÓJ OBCY,
KONTUSZ ZAŚ NADWORNE CHŁOPCY
I BRANECKI MIAŁ.

A SIERMIĘGA BYŁA CZYSTA
BO JĄ MYŁY OD LAT TRZYSTA
CHŁOPSKIE RZEWNE ŁZY —
WIĘC NACZELNIK STRÓJ WDZIAŁ ŚWIĘTY
I W NIM POWIÓDŁ REGIMENTY
W RACŁAWICKIE MGŁY.

W CZARNYCH CZAKACH FIZYLJERY,
I SUKMANNE KOSYNIERY
I SZLACHECKI SZYK,
ZWIĄZAŁ DUCHEM, RZUCIŁ W BITWĘ
I PRZEZ POLSKICH SERC MODLITWĘ
ZGŁUSZYŁ ARMAT RYK!

CHOĆ BATALJA BYŁA WŚCIEKŁA,
LE CZ WÓDZ JASNY STAŁ WŚRÓD PIEKŁA
JAK PORANNY BRZASK,
I MAGIERKA JEGO BIAŁA
PONAD LUDEM ZAJAŚNIAŁA
JAKBY HOSTYI BLASK.

Krzysztof Radziwiłł.

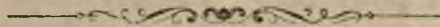
LEOPOLD STAFF.

WITRAŻE FRANCISZKAŃSKIE.

(W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI ICH TWÓRCY).

CZYŚ TY PRZYSZŁOŚĆ PRZECZUWAŁ, O STANISŁAWIE WYSPIAŃSKI,
KIEDY, SNEM SWOIM ZDOBIĄC CZCIGODNY CHRAM FRANCISZKAŃSKI,
WŚRÓD ABSYDY NAJBARDZIEJ EKSTATYCZNEGO Z OŁTARZY,
ROZŁOŻYŁEŚ, W PRZEŻROCZU TĘCZ, W SIEDMIOBARWIU WITRAŻY,
STARY ŚWIAT, KTÓRY LUDZKIE SKALAŁO GRZECEM SWYM PLEMIEŃ,
ZNÓW NA OGIEŃ I WODĘ I NA POWIETRZE I ZIEMIĘ,
ABY TAK OCZYSZCZONE PIĘKNOŚCIĄ CZTERY ŻYWIOŁY
NOWY ŚWIAT UTWORZYŁY TAJEMNICZYMI MOZOŁY?
KIEDY POLSCE MĘCZEŃSKIEJ, A NIE TRACĄCEJ NADZIEI,
JAKO Z RĄK ASCETYCZNYCH PRZEŚWIĘTEJ TWEJ SALOMEI,
UPUSZCZONA, WYPADŁA ZŁOTA, KRÓLEWSKA KORONA,
A OJCZYZNY DUCH, WZNOŚĄC KRWAWE W STYGMATACH RAMIONA,

WIŁ SIĘ, JAKO U BOKU ONEJ WYBRANEJ WŚRÓD MNISZEK,
W KRZAKU CIERNI CIERPIĄCY BOLEŚNIE ŚWIĘTY FRANCISZEK:
TAM NAPRZECIW, WŚRÓD GROMÓW I WŚRÓD TWÓRCZEGO BURZ SŁOWA,
NOWY ŚWIAT JUŻ WYŁANIA STWÓRCA, POTEŹNY JEHOWA
I ZWALCZONY JEST CHAOS I STARYCH PIEKIEŁ ZASADZKI,
WŚRÓD HEJNAŁU, CO TRĄBI NA TRYUMF Z WIEŻY MARJACKIEJ!



Z WYGNAŃCZEJ GĘŚLI.

Już biblia, wieczna księga, wobec której milkną karty największych mędrców i filozofów, — gdy chciała odmalować udrękę ludzką — skazała człowieka na wygnanie. Z krainy niezamąconego szczęścia i niewyczerpanego dostatku, z której nie schodził nigdy blask łaski i opieki bożej, idzie praojciec rodu „w pocie czoła“ spożywać gorzki chleb wygnania, wśród słonecznej spiekoty i burz gradowych głogiem i ostem zaprawiony.

Zaprzatające po dzień dzisiejszy najmniejszymi swoimi odławkami głowy uczonych badaczy — zaliczają tablice praw starożytnego świata wygnanie do rzędu kar, stosowanych przez sprawiedliwość, czy to wykonywaną wielotysięcznym ramieniem greckiego ludu, czy spoczywającą w wszechwładnej dłoni boskiego cezara. Karało zaś wygnanie głównie duchy górne, charakterystyczne wielkie i wzniosłe, odczuwające dotkliwiej niezgłębiony ból rozstania się z ojczyzną. Ostracyzm skazuje na wygnanie: Miltiadesa, który na polach Maratonu zlał się w wiekową jedność z symbolem bohaterstwa i poświęcenia; dotyka sławnego Temistaklesa;

każni nieposzlakowanego Aristidesa, w koronie cnót obywatelskich najpiękniejszego klejnotu piastuna, a elegia wygnanego Owidiusza, żegnającego Wieczne Miasto, pozostanie najwymowniejszą skargą tułaczego sieroty, bez względu ileby jeszcze pieśni wzbogaciło chorał skarg jeremiaszowych.

Średniowieczna klątwa, otaczająca obłokiem grozy papieską tyjarę, godziła tak zabójczo w głowę skazanego właśnie dlatego, że nietylko trzymała go zdala od poświęconych ołtarzy, ale wyganiała z domowych progów i ojczystych granic. Ona to zamieniała rycerski szkarłat na szatę żebracza, książęcy scepter na kostur, stukający daremnie do ludzkich siedlisk. Ale i świeckie Włochy nie wzdragają się przed banicją często najlepszych synów ojczyzny. Wygnany z pięknej Florencji, uchodzić musi Michał Anioł, mistrz barw, niestartych tchnieniem wieków z oblicza najdoskonalszej sztuki.

Czy wspomnieć może o św. Helenie, osnuwającej kiren! nicości ostatnie lata wielkiego Korsykanina, albo kierować maszty ku Dyabelskiej Wyspie, karzącej zmodernizowaną deportacją głośnego sprzedawczyka francuskich tajemnic wojskowych?

Bliżej nas leżą obszary, wygnańcami

kośćmi ubielone, po przez serce naszych dziejów porozbiorowych przepływa ocean łez tułaczych. Mamy sybirskie lody i bruk paryski, Kamczatkę i Szwajcarję.

Na czasie przypomniął dzisiejszej emigracji *Jan Andrzejewski* p. t. „**Kartki z wygnania w roku 1834**” słowa i uczucia Mickiewicza z dni wygnania.

Uwagi i cytaty feljetonu powtarzamy dosłownie:

Najpiękniejszy utwór naszej poezyi, chluba i korona wszystkiego, co dotąd wyśpiewali pieśniarze polscy — „Pan Tadeusz” został napisany na emigracyi w Paryżu.

Masowe oderwanie od kraju, rozproszenie po niezmiernych obszarach obczyzny, wygnanie—to nie pierwszyna dla nas. Zna je porozbiorowa historia Polski. Surowa i nieubłagana woła dziejów wypisywała już takie bolesne karty w księdze naszego życia w ubiegłym stuleciu.

Zalił się na to i dumal nad niedolą polską król naszej poezyi, Adam Mickiewicz, gdy zagnany wichurą roku 1831, osiadł na dłużej w Paryżu.

O czem tu dumać na paryskim bruku, przynosząc z miasta uszy, pełne stuku, przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów, zapóźnych żalów, potępieńczych swarów?

Tak pisze Mickiewicz w roku 1834, kiedy tęsknota za Ojczyzną, do której już wrócić nie było mu sądzono, paliła mu wnętrze ogniem nieustannego bólu. O czem dumać? — woła, skoro tak źle, tyle wyrzekań, tyle swarów, tyle niezgody wśród bratniej gromady na obczyźnie.

I rzeczywiście, ciężką i twardą dolę zgotował los wygnańcom wówczas. Tak o niej pisze Mickiewicz dalej:

Biada nam, zbiegi, żeśmy w czas morowy
łękliwe nieśli za granicę głowy,
bo gdzie stąpili, szła przed nimi trwoga,
w każdym sąsiedzie znajdowali wroga;
aż nas objęto w ciasny krąg łańcucha
i każą oddać co najprędzej ducha.

A w Polsce działo się wtedy coraz gorzej. Rewolucya 1831 roku nie doprowadzała do zamierzonych wyników. Nikt nie niósł nam ratunku i pomocy, bo i kógóż obchodzić mógł los Polski prócz nas samych?

A gdy na żale ten świat nie ma ucha,
 gdy ich co chwila nowina przeraża,
 bijąca z Polski, jako dzwon cmentarza;
 gdy im prędkiego zgonu życzą strażę,
 wrogi ich wabią zdala, jak grabarze,
 gdy w niebie nawet nadziei nie widzą —
 nie dziw, że ludzi, świat, siebie obrzydzą,
 że, utraciwszy rozum w mękach długich,
 plwają na siebie i żrą jedni drugich!

Tak pisze dalej Mickiewicz, tłómacząc, co wówczas było na wygnaniu paryskim powodem tego, iż zamiast wspierać się wzajemnie i podać sobie bratnie dłonie, ludzie „plwali na siebie i żarli jedni drugich“.

To też Mickiewicz mówi dalej, że:

Jedynie szczęście, kto w szarej godzinie
 z kilką przyjaciół siadłszy przy kominie,
 drzwi od Europy zamykał hałasów,
 wyrwał się myślą do szczęśliwszych czasów
 i dumał, marzył o swojej krainie.

Tak też było w istocie w domu Mickiewicza, gdzie chętnie gromadzili się wygnañcy, by razem z wieszczem podumać i pomarzyć o kraju. Płonące na kominu łuczywo, przyjacielska gawęda, trochę

smutku, trochę śmiechu przez łyzy — oto treść polskich wieczorów na wygnaniu, które powołały do życia arcydzieło naszej poezji „Pana Tadeusza“.

Bo i cóż zostało na wygnaniu dla Polaka, jeżeli nie pamięć o kraju, o ziemi ojczystej?

Dziś — dla nas w świecie nieproszonych gości
 w całej przeszłości i całej przyszłości
 jedna już tylko dziś kraina taka,
 w której jest trochę szczęścia dla Polaka:
 kraj lat dziecinnych!

On zawsze zostanie
 święty i czysty, jak pierwsze kochanie...

.....
 Te kraje radbym myślami powitał,
 gdzie rzadko płakał, a nigdy nie zgrzytał...

.....
 Ten kraj szczęśliwy, ubogi i ciasny,
 jak świat jest Boży, tak on był nasz własny!
 Jakże tam wszystko do nas należało,
 jak pomnim wszystko, co nas otaczało:
 od lipy, która koroną wspaniałą
 całej wsi dzieciom użyczała cienia,
 aż do każdego strumienia, kamienia, —
 jak każdy kącik ziemi był znajomy
 aż po granicę — po sąsiadów domy!

Taka miłość dla kraju paliła serce poety na wygnaniu, tak bardzo tęsknił za ziemią ojców swoich, tak brak mu było polskiego słońca, polskiego nieba i polskiego powietrza. Przepojony miłością i tęsknotą dla swej ziemi pisał już był wówczas swego „Pana Tadeusza“. Chętnie też przy kominku gawędził o kraju i słuchał, co mu inni o nim opowiadali:

I przyjaciele wtenczas pomogli rozmowie
i do pieśni rzucali mi słowo po słowie:
jak bajeczne źórawie na dzikim ostrowie,
nad zaklętym pałacem przelatując wiosną
i słysząc zaklętego chłopca skargę głośną,
każdy ptak chłopcu jedno pióro rzucił:
on zrobił skrzydła *i do swoich wrócił.*

Na skrzydłach miłości i tęsknoty wrócił do kraju Mickiewicz, bo nigdy nie oddalał się od niego duszą i sercem. Im był dalej, tem więcej miał ukochania i przywiązania do ziemi ojców i dziadów.

To też nic dziwnego, iż, poczynając „Pana Tadeusza“, tak boleśnie i tak smutno zawołał od pierwszego słowa:

Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie!
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
kto cię stracił...

I zaraz dalej wołał znowu:

Panno Święta, co jasnej bronisz Częstochowy
i w Ostrej świecisz Bramie!...

.....
Jak mię dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę
ofiarowany, martwą podniosłem powiekę
i zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu
iść, za wrócone życie podziękować Bogu —
tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny ton!

Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny ton! — powtarzamy za wielkim poetą w chwili, gdy znowu kartę wygnania wypisały dzieje w księdze życia polskiego, by może odwrócić ją już po raz ostatni.

* * *

Warto wsłuchać się również sercem i mózgiem w mało znany „**Głos z Wygnania**“ *Juliusza Słowackiego*, po śmierci dopiero pasowanego na duchowego księcia Polski, którego urna czeka dotąd na obczyźnie na uroczysty korowód, otwierający wawelską kryptę. Autor „Anhellego“ i „Króla—Ducha“ tak przemawia:

Z dalekiej obcej ziemi my, wygnańce, śmiemy do Ciebie mówić, nieszczęśliwy narodzie.

Wśród liczego narodu jesteśmy jako na puszczy, bo kamieniami i drzewami są nam ludzie, którzy twego jęku nie słyszą.

Już od smutku wyschły piersi, a jako wichur upalny niszczy kłosa jęczmienne, tak nas wieść o nieszczęściach twoich.

I zginąć nie mogę, ratując was, bo znać nam ojciec niebieski jeszcze dni nasze do służby dla Was zachował.

I dał nam tu na wygnaniu poznać ciężkie winy nasze, iżeśmy żyjąc w rodzinnej ziemi, nie pełnili jego przykazań..

Pragnęliśmy swobody i szczęścia, a w ucisku i nędzy zostawali nasi bracia — chłopci.

I odwrócił Pan oblicze swoje od nieprawości naszych.

Dziedzictwo ojców od morza oddał nieprzyjaciołom niezbożnym, rozproszył spolem szlacheckie i chłopskie syny na nędzę tułacką... Na dumne karki nadepnęła nikczemna noga, a płacz sierot zalegał ziemię całą.

Aż w niezbożnym zaślepieniu synowie

jednej matki bratobójczej nożami wyleli potoki krwi własnej...

Stanałeś nad przepaścią, szlachecki rodzie, u stóp twoich śmierć i piekło, a tam w górze Bóg i Polska.. Znaj w karaniu rękę Boga i chwał Ojca, że ją zsyła ku poprawie.

Mierzysz chłopca swym rozumem, a on wyżej jest od ciebie wiarą swoją.

Bądź mu równym w miłości i w bojaźni Boga, byś go uszanował, jako brata rodzonego. Uszanuj grubą siermięgę, bo to strój przyszłych żołnierzy, co Polskę wywalczą.

Razem z ludem idź do kościoła, byś w pokorze i modlitwie dał mu serce swoje. Stań się ojcem chrzestnym, dziecięciu chłopskiemu opiekunem, wdowie i sierotom przyjacielem pocieszającym rodzinę zmarłego. Pogardź zbytkiem, byś nie hańbił darów boskich, ale zrób z nich sprawiedliwość rękom, które nie pracowały i lud wiosek twoich niechaj będzie jak rodzina poświęcona prawem Boga.

I zdobędziesz serce sercem, a gdy czasy będą spełnione, chłop ci poda swą prawicę do budowy wielkiej.

I odrodzisz się na ziemi, w bohaterów

się zamienisz! wy i chłopi świat zbawicie. Jako wylew wiślany niszczy stuletnie dęby i skały ogromne, tak my zniszczym nieprzyjaciół naszych. Bo siła nasza będzie większa, niż siła piorunu i struchleje przed nią wróg.

I zmartwychwstanie Ojczyzna nasza w wiecznej chwale i szczęściu.

* * *

I nasza trzechletnia doba wygnańcza wzbogaciła skarbiec literatury ojczystej w niejedną perłę niepospolitej piękności, w niejeden poetycki klejnot, który długo błyszczeć będzie w dyjademie polskiego ducha. Z tęczowej powodzi wyławiamy za „Ogniskiem Polskiem“ jeden taki klejnocik, zalecający się swojską nutą i serdeczną grą uczuć, dziś przedewszystkiem tak dźwięcznych i bliskich.

BRACIOM TUŁACZOM.

— A GDY PAN KAZAŁ IŚĆ „PIELGRZYMSTWA“ SZLAKIEM,
KRZYŻ BÓLU MAJĄC ZA WSZYSTKIE DOSTATKI,
POMNIJ, O BRACIE, ŻE JESTEŚ POLAKIEM,
SYNEM TEJ MATKI —

POLSKI NIESZCZĘSNEJ! — DO SIÓDMEGO POTU
BÓLEM I KRWAWĄ NIEDOLĄ ZGNĘBIONY
W DRODZE, — TRWAJ BRACIE — DO CHWILI POWROTU
NA SWE ZAGONY.

SZUMIAŁY LIPY, ŻŁOTYM SYPIĄC KWIATEM,
WOŁAŁY ŻYTNIĘ ŁANY: „PATRZ, CO CHLEBA!...”

PORZUCIĆ WSZYSTKO... ODEJŚĆ — TAM — HEN — ŚWIATEM
W DROGĘ IŚĆ TRZEBA!...

TYLE TAM SŁOŃCA BYŁO TEGO LATA,
BRZĘCZAŁ RÓJ PSZCZELNY W SADZIE PONAD ULEM,
BOCIAN KLEKOTAŁ... RZUCIĆ... NA KRAJ ŚWIATA
IŚĆ ZE SWYM BÓLEM...

IŚĆ — KĘDY OCZY PONIOSĄ — NA MARNE...
GDZIE KOŚCI ZŁOŻYĆ, GDY JE ŚMIERĆ OSTUDZI
W DRODZE?... A ZA MNĄ ŁUNY, DYMY CZARNE...
TYSIĄCE LUDZI...

NIECHŻE TĘ NASZĄ OKRUTNĄ NIEDOLE,
UKOI CHRYSZTUS MIŁOSIERDZIA ZNAKIEM!
WYTRWAJ! POWRÓCISZ, BRACIE, NA SWĄ ROLE,
WSZAK TYŚ — POLAKIEM!...

Bożymir.

Pierwszy raz w ogniu.

(Kartka z pamiętnika)

26 czerwca 1915 r.

Na drugi dzień po przybyciu do san-domierskiej wioski Dziurów — zebrało się kilku oficerów wraz z kapitanem naszej drużyny w zajmowanej przezemnie chacie, na poobiednią herbatę. Koleżeńska rozmowa potoczyła się naturalnie około wojennych przejść ostatnich dni, przedewszystkiem około perypetji odwrotu z Opatowskich pozycji. O wiorstę od nas pękają pociski ciężkiej artylerji austryjackiej, bombardującej zaciekle sąsiednią wieś Czyżów.

Tupot konia przerywa gawędę i w drzwiach chaty stoi już ordynans z małą niebieskawą kopertą w ręku. Wiemy, co to znaczy. Rozkaz bojowy. Krótki a jasny: 129 drużyna ma iść do okopów pod folwarkiem Buczek i wesprzeć drużynę 131.

Za minutę zostaję sam w chacie i na kilka sekund cały kłęb myśli i wspomnień obejmuje moją głowę. Wchodzącemu feldfeblowi każę wyprowadzić ludzi na drogę,

sam zapinam przy pomocy deńszczyka paski bojowego rynsztunku, zlecając natychmiastowe wyprawienie połową pocztą napisanego wczoraj do żony listu, dysponując, co zrobić z rzeczami, w razie gdybym zgiął i jak postąpić, gdybym został ranny.

Już przed chatą kończę dyspozycje i łączę się z moją rotą. Po zwykłym powitaniu żołnierskiem formuję kolumnę, poczem komenda: „Na modlitwę czapki zdejm“. Chwila uroczystej ciszy. Żołnierze żegnają się szybko, prawosławnym obyczajem, schylając głowy i przyciskając do siebie prawym łokciem karabiny.

Po raz pierwszy robi mi się jakoś niewyraźnie. Wymyślam w duszy sam sobie, przedkładam, że gdy tyłu młodszych ginie, byłaby fraszką moja śmierć, człowieka starszego i nie przyczyniłaby na pewno niebu dziury. Uczucie lęku pełza jednak w mózgu, w sercu — i to mnie irytuje.

Czuję jednak, że czas ostatni powtórzyc i swojej rocie rozlegającą się w innych komendę: „Na ramię broń, marsz“, w jednej chwili równowaga wraca i oto idę już na czele moich żołnierzy. Maszerujemy w milczeniu, z opuszczonymi bagnietami, zagłębioną pełną drogą ciekawi, czy nas

też dojrzą nieprzyjacielscy obserwatorzy, co byłoby hasłem dla artylerji przeciwnika: starać się nie dopuścić rezerw do okopów. Wkrótce skręcamy z drogi na lewo i po przejściu około stu kroków odkrytem polem, schodzimy do głębokiego parowu. Dno parowu jest miejscami wązkie, maszerujemy tedy gęsiego, trzymając się zawsze strony, zasłaniającej nas od strzałów, które wała w przeciwległą ścianę, aż ziemia na nas leci.

Kończy się wreszcie wąwóz, jakiś mały przewiewny, gorący, chwil kilka i wychodzimy na szeroką dolinę, przez którą biegnie droga do folwarku Buczek. Budynki folwarczne już widać, ale odgradza je od nas miejscowość odsłonięta. Na zakręcie drogi jest jednak, jakgdyby przez naturę dla nas zbudowany, wązki i płytki, poprzeczny parówek. Tam to nakazuje kapitan schować się całej drużynie. Przylegamy doń szczelnie, jeden przy drugim; basowe działa rozsypują odłamki i szrapnelowe kulki nad naszymi głowami; jeden czerep podskakuje po roli i stacza się wreszcie do naszej kryjówki, co wywołuje to żarty, to wyszukane przekleństwa żołnierzy. Jednemu żołnierzowi, który wychylił nieostroźnie gło-

wę, zerwał wichrowaty od przelatującego pocisku pęd powietrza czapkę z głowy. Junak porzucił na chwilę wąwóz, przeszedł kilkanaście kroków po kurzącym się od szrapnelowych uderzeń polu i wrócił z czapką, zdrow i cały, witany żartami żołnierzy, upatrujących w tem dobrą wróżbę dla towarzysza.

Tymczasem dowódca bojowego sektora szle rozkaz, by pierwsza rota szła na prawo, czyli od zachodniej strony folwarku, do wylotu rowów komunikacyjnych, moja zaś rota prosto przez folwark, do wylotów w ogrodzie dworskim. Nasze położenie gorsze, bo nakazana droga wiedzie dwieście kroków odkrytą przestrzenią—to też zuch—kapitan pozostaje z nami i prowadzi, dzieląc nas w sekcje i komenderując przez odsłonięte pole, gwoli uniknięcia strat, gęsiego Puszczam się pędem z ostatnią sekcją i dobiegam zdyszany do najbliższej zbawczej obory. Wszyscy żołnierze mojej sekcji cali i zdrowi, a budynki folwarczne prowadzą nas już teraz bezpieczniej do rowów komunikacyjnych, ostrzeliwanych przez kulomioty.

Wreszcie jesteśmy w okopach. Pierwsze wrażenie oszałamiające, przykre. Dym, kurz, zaduch, krzyk W dodatku trafiliśmy

właśnie na chwilę austryjackiego ataku. Nie brak także trupów; ranni to jęczą, to wyklinają; zdrowi wołają o ładunki, których zaczyna gwałtownie niedostawać. To też dowódca 131 drużyny rzuca nam na powitanie: „przysłiście w sam czas, bo już nie mamy czem strzelać, dawajcie ładunki i zajmujcie puste miejsca“.

Zaledwie zdążyliśmy skutecznie sprawiedliwy podział ładunków i zająć pozycje — ukazała się długa, niebieskawa linia austryjackich mundurów. Ale dzięki naszemu przybyciu i wszystkie strzelnice zajęte i jest czem strzelać. Przez całą linię okopu przebiega stukot, jakgdyby gęsty grad bił po blaszanym dachu. Miarowe gdakanie kulomiotów coraz dosadniejsze. O jakie trzysta kroków dostrzegam wychylające się z ładu żyta szare czapki. Widzę, jak pojedynczy ludzie padają, a od lewego flanku, gdzie działają skutecznie dwa nasze kulomioty, kładą się pokotem wszyscy. Ale z żyta wyskakują coraz to nowi żołnierze i dobiegają wzgórką, położonego od nas niedalej, jak 150 kroków, gdzie przyczajają się do dalszego ataku.

Kule pluszczą teraz coraz gwałtowniej, bo i austryjacy zaczynają strzelać. Wstają,

by dopilnować rozdania nowopodwiezionych ładunków, bo każdy żołnierz chciałby ich wzięść jaknajwięcej, przekonany, że będzie bezpieczniejszy, jak się ołowianemi paczkami obłożyć. Nadchodzi rozkaz, aby — w razie, gdyby nieprzyjaciel dobiegł do drucianej zagrody, wyskoczyć z żołnierzami na burtę okopu i strzelać salwami, dopiero — gdyby drut przecięto, iść na bagnety.

Podniecenie moje wzrasta, ale lęku już ani śladu. Śledzę tylko perypetje walki i czuję dreszcz oczekiwania. Zagroda druciana sterczy o jakie 60 kroków od okopu, łańcuch nieprzyjacielski wstał nagle, jakgdyby sprężyną podrzucony i biegnie. Karabiny nasze grzechoczą, nieprzyjacielska piechota widna jednak coraz bliżej, a strzały nasze wrywają coraz to mniej luk w biegnących z okrzykiem hura szeregach. Snać atakowany nasz żołnierz traci panowanie nad nerwami i celuje coraz gorzej. Rzucam okiem po najbliższych twarzach i odczuwam, że za chwilę gotowa stać się rzecz straszna, ucieczka.

Biegnący na przedzie austryjacy dopadają drutów. Milczące już dłuższy czas nasze kulomioty, rozpoczynają teraz pracę na nowo. Koszą nie na żarty od prawego i le-

wego flanku. Austryjaska linia zatrzymuje się przy drutach. Ta chwila gubi nieprzyjaciela. Żołnierze moi oprzytomnieli i strzelają do stojących, sekunda wahania i atakujący rzucają się w tył. Atak odparty. Odzywa się artylerja nieprzyjacielska, aby osłonić odwrót swoich i zmusza niebawem żołnierzy naszych chować się do blindażu i lożementów (jam wykopanych w burcie okopu od strony nieprzyjaciela).

Mimo zachodu słońca, nie bliski koniec naszych mozołów. Zbieramy się wprawdzie, w dużym blindażu i dzieląc się wypadkami i wrażeniami bitwy, czekamy, aż na spirytusowych maszynkach zakipi herbata i zagotuje się pożywne mleko. Raptem pocisk uderza w narożnik blindażu, roznosi w puch grubą ścianę ziemi i łamie w drzazgi belkowanie pułapa. Przewrócone maszynki spirytusowe zapalają słomę, na której leżymy, mleko ścieka w ziemię, widzimy już, że trzeba nam będzie zadowolić się nowo nastawioną herbatą i chlebem.

Strzelanina karabinowa trwa ciągle. Wschód księżycy ostrzega o możliwości nocnego napadu, więc następuje zaciąganie bocznych wart i straży. W dodatku meldują czaty, że austryjacy okopują się za miedzą,

u której ostatnio podczas ataku przylegli. Kapitan raportuje o tem telefonicznie dowódcy sektora bojowego i otrzymuje rozkaz wzmocnienia po kopiących ognia z karabinów i kulomiotów. Zaczyna się tedy nowa wymiana strzałów, które mnie, wieśniakowi, dziwnie przypominają gdakanie podwórzowych pentarek.

Nad ranem ogień słabnie, bo raz wraz zaśnie to z jednej, to z drugiej strony, śmiertelnie znużony żołnierz. Wczesny, czerwcowy świt zmusza wywiadowców i wartowników wracać do okopów. Cichnie wszystko i już tylko skowronki nucą w bladej poświacie brzasku pieśń poranną. Chwilami mam wrażenie, że jestem daleko od pola ran i mordy. Czarowną złudę przerywają mi jednak nagle jakieś jęki, biegnące od pola, ciągnącego się przed naszym okopem. Widocznie pozostał tam ranny austrijacki żołnierz. Snać ocknął się z omdlenia i cierpi coraz silniej, bo jęki rosą. W tem zawołał: „Sanitarze — Matko Boska zlituj się — ludzie ratujcie“. Wielki Boże — po polsku zawołał, aż włos zjeżył mi się na głowie, serce grom przeniknął i żal wystrzelił do Opatrzności, bezlitosnej wobec walk bratobójczych i zwierzęcych rzezi.

Ofiarowuję pierwszemu z brzoęa żołnierzowi dziesięć rb. za podpełzanie do ranego i przyciągnięcie go do okopów. Żołnierz się zgadza, ale w obawie zasadzki dobiera sobie towarzysza. I temu obiecuję równą nagrodę. Obydwaj próbują wydostać się z okopów, ale to sprawa nie łatwa. Wązkie przejście w drucianej zagrodzie jest pilnie obserwowane przez nieprzyjaciela, a od drutów do pszenicy wiedzie 50 kroków. W dodatku rozwidnia się zupełnie. Mimo to żołnierze czołgają się szczęśliwie krok za krokiem, coraz dalej. Nagle pada z austryjackiej strony jeden strzał, potem drugi, dziesiąty i tak crescendo coraz wię-

cej. Wsłańcy zrywają się i pędem wracają do okopów. Na szczęście cali, ale jeden bez czapki, drugi z przedziurawionym w dwóch miejscach szynalem.

Nadbiega, zbudzony z drzemki kapitan i zbadawszy sprawę, burczy i grozi mi sądem polowym za to, że aby ratować jednego człowieka, dwóch ludzi posłałem na śmierć. Nie może jednak wytrzymać długo w urzędowym tonie zwierzchnika i po chwili płaczemy obydwaj, jak małe dzieci, które czują, że spotyka je wielka, niezasłużona krzywda.

Choraży R.

SAMOTNY DOM.

LEOPOLDOWI STAFFOWI

*Na skraju miasta, kędy wicher dudni
Swą beznadziejnie potępińczą pieśń,
Stoi dom nizki w ponurej bezludni,
Którego mury toczy czas i pleśń,
I nad urwiska zwisając głębiną
Chyli się wiekiem — zapatrzon w dal siną.*

*Szaleńczy żywot wielkich ludzkich mas,
Oblędna pogoń za złudą rozkoszy
Spokojnej wnętrza ciszy mu nie płoszy,
Bo dawno minął mu świetności czas, —
Niekiedy jeno minionych dni czar
Wskrzesa w snach jego, chociaż dawno zmarł.*

*Lubię samotność jego niemych ścian,
Co tak mi koi wyczerpane nerwy
Błogością ciszy, że chciałbym bez przerwy
Żyć tu w drętwoście głuchej i bez zmian.*

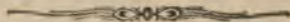
*W pokoju mierzchnie... Dywan tłumi krok,
Za oknem wicher, szumiąc monotonnie,
Uderza w szyby — szyby drżą bezbronnie —
W pokoju zwolna rozsiada się mrok.*

*O piętro wyżej na skrzypcach ktoś gra,
Melodya — słyszę, że śmieje się do mnie,
Potem już tylko cicho, sennie łka,
A potem płacze — szłocha nieprzytomnie —
I znów zawodzi lub szaleje dziko
Jakgdyby sercem była, nie — muzyką.*

*I zwolna sączy się do duszy jad,
Skrada się gorycz, co jak rdza przeżera,
I żal mi tylu zmarnowanych lat...
Z melodyą skrzypiec, co drga i umiera,
Ulata spokój błogi mojej duszy,
I znowu długo nic bólu nie zgłuszy.*

Eugeniusz Świerczewski.

Charków, styczeń, 1918.



NASZE POKŁOSIE.

I.

(Panorama rewolucji rosyjskiej; nastroje, nadzieje i stanowisko Polaków. Hołd robotnikowi polskiemu. Rozbudzenie życia politycznego. Komisja wykonawcza stowarzyszeń polskich w Charkowie. Polski klub demokratyczny. Związek zjednoczenia niepodległej i niezawisłej Polski. Rozkwit związków zawodowych).

Przetrwaliśmy z kolei rok 1917. Rok rewolucji, jakiej nie znały do tej pory dzieje świata.

Piętrzyła się nam w oczach miążdząca zmysły, ogromna panorama zmieniających się z zawrotną szybkością obrazów, dla jakich zbrakłoby z pewnością barw na palecie współczesnego Danta.

Czerwień kwiecia umajonych wozów tryumfalnych szła o lepsze z żalobą chryzantemów na kadłubach trumien z krwawych dni samosądów. Jedne i drugie otaczała bezładna eskorta mrowisk ludzkich, wołających o struny tyrtejskie, by na nich ostrzyć noże gilotyny, wydzierających sobie

łuk Tella, wymierzony w białą pierś gołębiczy wolności.

Ocean rewolucji wyrzucał cedrowe gonty błędnej arki Noów i smolne szczapy wyklinanej skrzyni Pandory; przelewał się przez majaki twórczych wirchów i mroczne głębie o spiżowym dnie zatopionych dzwonnów, spadłych na koszlawych skrzydłach czartopchajki z kremliańskich zboczy. Ostatni z korowodu prometeidów, Ormuzd rosyjski—wiódł bój rozpaczny z rodzimym Odysem, oślepiającym posępnego cyklopa na glinianych nogach...

Rok ten nie tylko przetrwaliśmy. Zżęte jego sierpem na pielęgnowanej, polskiej grzędzie pokłosie — wróży niezgorzej dla narodowej naszej przyszłości.

Wciągnęliśmy w kneblowane płuca cały rewolucyjny wiew, kruszący posągi tyraństwa, ale nie poddaliśmy się woli wichru, ciągnącego od dzikich pól Piotrogradu i Moskwy, mózgu i serca Rosji. Omraczający zmysły, pąsowy kwiat lotosu—nie przysłonił nam ojczystych malw i chabrów.

Rewolucja rosyjska zastała nieprzygotowaną naszą strukturę, ale nie naszą narodową duszę. Pierwszą wznosiliśmy pod obcym strychnulcem, zazdrośnym o każde

odchylenie budowy od kazarmianych linii; druga żyła zawsze na barykadach buntu, wyczuwanych argusowem okiem krachującego legitymizmu. To też nie dni, ale godziny — od dotarcia rewolucyjnej kołedy do Charkowa — wystarczyły, aby społeczeństwo polskie poszło w pełnym oryndku na spotkanie dobrej nowiny.

Męski czyn piotrogrodzkich pretorjanów, przecinających bagnetem carski węzeł, ugniatający liczne narody Rosji — powitał polski odłam Charkowa z radosnem przeświadczeniem, że ze zmierzchem wiekowej satrapii nastanie twórczy świt wyjarzmionej, potężnej woli ludowej. Cieszyliśmy się podwójnie, bo czuliśmy pęta na własnych rękach zelżone i widzieliśmy rozkuwane kajdany w ziemi Augiaszów i Prokrustów, zamieszkałej przez ciemieżony, pobratymczy naród. A szczerą i zupełną była nasza radość. Za straconym z peterhofskej żerdzi kapeluszem bizantyńskiego Gesslera, nie żałował nikt. Snać urabiana przyzwyczajeniem druga natura polskiego człowieka — wszystkie gotowa wchłonąć sztuczne pierwiastki i atomy, krom miazmatów niewoli.

Idąc za głosem narodowego poczucia, byliśmy w tem zgodni z innymi ośrodkami

emigracyjnej myśli polskiej, że nam do leżących na drodze walki przeobrażeń rosyjskich—żadną miarą mięszać się nie wolno. W ojczyźnie jedynie dostrzegaliśmy dla siebie pola tej twórczej pracy, która rozstrzyga o ustroju i układzie stosunków państwowych i społecznych. Tu mieliśmy dwa główne pragnienia. Zabezpieczyć stałemu naszemu osadnictwu w Rosji możliwie dogodne formy bytu, pozwalające obok gospodarczego dorobku na pielęgnowanie własnej narodowości i kultury i powrócić krajowi fantastycznie wielką IV emigrację, pod względem liczby i wartości jak najmniej uszczuploną.

Oto główne akordy pierwszego naszego marcowego wiecu, harmonijnej uwertury, improwizowanej w karnawale rewolucji.

Był w melodji tej jeden ton, potężny a szczery, dzięki któremu wystrzelił polski Charków ponad inne, większe nasze narodowe skupienia. Ton zgody społecznej. Chciano u nas koniecznie zespolić i wprzód wszystkie polskie siły w uzgodniony, jednoliny kierunek narodowej pracy. Nieuniknioną walkę klas chciano dopiero rozegrać na ojczystej arenie, kładąc na bezdrożach obczyzny wspólny napis: *Polacy łączmy się.*

Obręcz wspólnoty pozostała pięknem hasłem wiecowem, patrijotycznym marzeniem naszych ideologów. Partje radykalne co dopiero wyszły ze swoich katakumb i zaufane w najlepsze wróżby, pragnęły raczej rozwinąć na powietrzu i słońcu wszystkie siły bojowe. Jakiegokolwiek też dzieliłyby nas różnice socjalne i taktyczne, trudno nie ugiąć czoła przed polską bluzą robotniczą, starcząca za chorągiew walki o wolność i ojczyznę w latach, kiedy inne obozy standardy zwiły. Tropiony przez żandarmską sferę, dziesiątkowany knutem i pętlą szubienicy, wleczony na łożo tortur po carskich pawilonach—głosił robotnik polski, spadkobierca ojczystego przedmurza, z męczeńskiej swojej widety, hasła przez rewolucję w młodzieńcze kształty obleczone. Osobny też i obszerny artykuł zaledwieby podolał scharakteryzowaniu porewolucyjnych prądów myśli i pracy polskiej klasy robotniczej.

W obozie umiarkowańszym, ideowo bliskim inicjatorom jedności narodowej, poczęły się—po pierwszej gotowości kompromisowej—zarysowywać dwa skrzydła, odpowiadające zresztą dwom głównym kierunkom polskiej myśli politycznej, z toczącą się wojną najściślej związanym.

Ze szlachetnego posiewu wszedł jednak plon pożyteczny i trwały: *Komisja Wykonawcza Stowarzyszeń Polskich w Charkowie*. Ona to—ścieśniając ambicje partyjne, hamując wrzaskliwe przelicytowywanie walorów politycznych, wskazując i ujednostajniając kierunki pracy społecznej—wytrącała z rąk ten pokutujący na emigracji kaduceusz polski, mącący narodową kadź, w Charkowie bądź co bądź mniej bełtaną, mniej zatracającą swoje przeźrocze.

Nieskrępowane życie polityczne puściło oczywiście swoje pędy. Wystrzeliły one, jak wyżej wzmiankowano, w dwóch kierunkach, dzielących zarówno kraj, jak i emigrację. Dwie planety polskie, krążące dookoła słońca wojny.

Obydwa kierunki pragnęły przysłużyć się ojczyźnie — a gdy na wojennym globie w miejsce promieniejących dziejowych pewników, świecą sfinksowe larwy, strzegące drogi do narodowej Kadmei, musiało odgadywane jutro dawać oparcie naszym wierzeniom i czynom. I gdybyśmy o tem byli zawsze pamiętali, odczuwalibyśmy — miast spiętrzania zarzutów rozmaitych filizmów — wzajemne współczucie dla rozdartej od Gacyna po Szpandowę duszy polskiej.

„Orientacje“ nie ominęły tedy Charkowa i zogniskowały się głównie w dwóch zrzeszeniach polityczno-społecznych: *Polskim Klubie Demokratycznym i Związku Zjednoczenia Niepodległej i Niezawistej Polski*.

Polski klub demokratyczny zgromadził przede wszystkim charkowską grandezę. Związał ludzi tej samej klasy społecznej, więcej, bo równych kół intelektualnych i zawodowych. Tradycyjne nici, wiążące zdawna notablów stałej kolonii, znalazły się przeważnie w jego ręku. Cementowało to świetnie spoistość klubu, która musiała zastąpić stosunkowo niewielką jego liczebność. Karny i konsekwentny, odczuwający wagę odpowiedzialności za program i działalność—nie zdobyłby się z pewnością klub demokratyczny na obojętność Związku zj. niep. i niez. Polski, który wysławszy delegatów na lipcowy zjazd moskiewski, nie kwapił się bynajmniej z wysłuchaniem ich sprawozdań.

Zgranie się i erudytyzm członków pozwoliły klubowi demokratycznemu na sformułowanie programu, wnikającego śmiało w jądro całego szeregu pierwszorzędnych zagadnień politycznych, gospodarczych i spo-

łecznych. Tenże erudytyzm, przy ofiarnej gotowości i zamiłowaniu w pracy narodowej, dostarcza nie tylko klubowi referentów w nasuwających się materjach, ale sprawia, że jego członkowie zajmują niemal wyłącznie placówki oświatowe i kulturalne, podnoszące poziom umysłowy, estetyczny i samowiedzę kolonii.

Związek zjednoczenia niepodległej i niezawistej Polski, pragnący skupić pod hasłem Polski etnograficznej z własnym pobrzeżem walną część kolonii, odbierał od członków na jeden ten kanon narodowy przysięgę, mało pytając o inne artykuły wiary politycznej. Był zatem organizacją raczej narodowo—obywatelską, a nie polityczno—społeczną, już z natury swojej dość luźną, bo skupiającą ludzi politycznie różnie myślących, a społecznie rozmaicie postawionych. Taki jednak związek był właśnie wysoce pożądanym i ze względu na wagę chwili i na stosunki emigracyjne. W związku rej wodzili ruchliwsi z pośród wojennej emigracji, acz nie bez wpływu pozostawali członkowie zdawna w Charkowie osiadli, wśród nich kilku optymatów stałej kolonii.

Brak dostatecznie wykształconych referentów hamował szeroki lot liczebnie po-

każnego związku, który zdziałał jednak stonkowo dość dużo. On to sondował sprawę armii; ploszył ospałość i przeorywał ugorujące pole prasowe; on wreszcie, gdy życie kolonii poczęło się rozrastać w coraz to nowe rozgałęzienia, strażował troskliwie około ich rozkwitu.

Stronnik związku — starałem się przy charakterystyce obu organizacji opuścić na dół lunetę partyjną, rozumiejąc, że nie piszę artykułu dla rozgrzanej do czerwoności dziennikarskiej szpalty, a szkic poglądowy, mogący się przyczynić do zobrazowania życia kolonii, z którą dzielę trzeci rok wszystkie nadzieje i troski. Na ogół — nie promieniowały obydwie organizacje — śladem Kijowa, czy Moskwy — poza swoje najbliższe środowiska. Wśród nich jednak były szkołą wyrobienia politycznego, karność obywatelskiej, kruszyły skutecznie kordonowy partykularyzm, budziły narodową myśl polską i w tym względzie zdobyły równe prawo do szczerego uznania.

Zakwitły u nas również związki zawodowe: *Związek Nauczycielstwa Polskiego*, *Polskie Stowarzyszenie Pracowników Handlowych i Przemysłowych*, *Oddział miejscowy Stowarzyszenia Techników-Polaków*

w Rosji, Stowarzyszenie Prawników Polskich.

W związkach roztrząsa się i pogłębia zadania, jakie najrozmaitsze zawody mają do spełnienia, chroni wspólne interesy, przyswaja szersze horyzonty wiedzy i udoskonala metody pracy, a przez wnoszenie w zawodową monotonię różnoliniowości i kolorystyki, gruntuje skutecznie zamięłowanie i pobudza energię do obranego działu pracy. Podwójna też korzyść płynie z poznanych związków. Skupiają one i szkolą całe zastępy dzielnych pracowników, wkrótce już czynnych w ojczyźnie — i spajają coraz to silniej Polaków, którzy zmuszeni trwale tu bytować, tem łatwiej przetrwają wstrząsy i przeobrażenia rewolucji rosyjskiej, im więcej będą solidarni i lepiej zorganizowani.

II.

(Idea armii polskiej i polskich formacji wojskowych. Opieka nad żołnierzem polskim. Związek wojskowych Polaków. Towarzystwo Przyjaciół Żołnierza Polskiego. Twórczość artystyczna i literacka. Teatr. Varia).

Nie byłaby kolonia charkowska polską z krwi i kości, a jakąś obcą mumią w ro-

syjskim panoptikum, gdyby sprawa armii narodowej nie rozplómięła i u nas serc i mózgow, nie zaważyła na szali krzyżujących się kierunków i dążeń.

Z potrójnego stanowiska sądzono u nas kwestję armii. Obóz socjalistyczny głoszący, że nie korony i bagnety a ludy zdecydują pokój i nakreślą sprawiedliwą kartę świata, odrzucał wogóle wszelki militarizm, a więc konsekwentnie i armię polską. Drugi obóz, szukający dla emigracji busoli w kraju, w jego ręce składał szafarstwo krwi polskiej. Trzeci wreszcie — oczekujący wciąż z koalicyjnego nieba gromu, oczyszczającego atmosferę nad lenną Warszawą, zaufany w zwycięski miecz a nie w kompromisowe pergaminy, forsował tworzenie na emigracji armii narodowej, mającej — czy to przez udział w walce, czy przez bojowe pogotowie — zyskać walor międzynarodowego czynnika o decydującem dla sprawy polskiej znaczeniu. Trzy orientacje — trzy równego połysku i wagi Natanowe pierścienie. Nie wiadomo tylko, który historia za prawdziwy wybierze...

Ostatnie dwa obozy rezerwowały się jednak w sprawie armii. Ani veto Klubu

demokratycznego, ani pobudka Związku zjedn. niepod. i niez. Polski nie miały tych tonów stanowczych, wzajem krańcowo wrogich, co w innych środowiskach polskich. Krażono u nas raczej dookoła wojennego Rubikonu, występującego ze spokojnych brzegów dopiero pod zaklęciem przejezdnych, zdecydowanych heroldów armii z Kijowa i Moskwy. W tem obopólnem wahaniu na rozdrożu hazardu i rezygnacji — przebijało się może i niewyrobiecie polityczne, ale dawała się także wyczuwać patryjotyczna troska uniknięcia fałszywego kroku.

Dobra wiara jest moralnym granitem wszelkich poczynań. Puklerzem zawiedzonych i błędzących. Bo nawet zawiedzona, obchodzi święto cnoty wtedy, gdy lepsze rachmistrzostwo święci niedzielę zwycięstwa. Zła woła tylko, ścigana przez narodowe erinje, nie znajdzie miejsca u ojczystych ołtarzy. Tak i w sprawie armii. Podzielając jedno szanować można drugie zdanie. Byleby w dobrej wierze poczęte. Ale trudno dać się porwać wirom — że zapożyczę plastycznego zwrotu u Micińskiego — „frazesowej karuzeli“, puszczonej w ruch przez kabotynizm żołnierski. Przykrym i u nas był widok młodych rąk, zdolnych do kara-

binu, bijących w werbunkowy bęben z beziepcznej, wiecowej estrady.

Apostolstwo zbrojnego czynu wymaga przykładu. Tysiąc bagnetów błysło na jedno słowo, gdy Ojczyzna listopadowemi łzami wolności płakała. Ale głoszący je, sami wzniesli szpady na warszawski arsenał. Byron, Pethö'fi, Romanowski, lali własną krew do kruży Marzanny, zapładniającej na polu walk drzewa wolności. U nas tysiące słów padało — a drogi do obozu wionęły pustką. Dobosze wojenni czuli się zupełnie dobrze... w Charkowie.

Sprawa armii polskiej pozostała w Charkowie kwestją otwartą. Polscy żołnierze charkowskiego garnizonu samorzutnie w niej się we właściwym czasie nie wypowiedzieli. Pierwszy wiec czysto wojskowy odroczone właśnie w chwili, gdy zaczynało się nad doniosłą tą materją głosowanie. Wiece następne nosiły już charakter mięszany; agitacja świecka ryła na nich swój stempel. Głębokiem łożyskiem wojskowem nie stał się jednak Charków nigdy. Ilość zdecydowanych stronników armii nie wyrównywała liczbie czy to rezerwujących się, czy zwalczających ją wprost członków kolonii.

Zgoła odmienne stanowisko zajęliśmy

w sprawie formacji polskich w wojsku rosyjskiem. Myśl, aby rozrzuconych po obcych pułkach żołnierzy naszych z dotychczasowych środowisk wydzielić i powiązać w kadry czysto polskie, otoczone narodową ideą i atmosferą — pochwyliła kolonia w lot i aprobowała ze zrozumiałą gotowością.

Patryjotyczną tę misję wziął na siebie powstały u nas w maju *Związek Wojskowych Polaków*, który zapisał zaraz w pierwszym swoim roczniku tak chlubnie nazwiska przewodniczących pracom oficerów: Rojeckiego, Jabłońskiego, Biernackiego. Związek roztoczył nad żołnierzami odblask strzechy ojczystej, rozjarzył kaganiec narodowej oświaty, stał się dobroczyнным filtrem, oczyszczającym dusze polskich żołnierzy z narostów i przywar, przyswojonych z okutaniem w szynel rosyjski. Dezorjentujący chaos anarchii, piętrzone zawory i kłody, siana do narodowych poczynań nieufność — odbiły się naturalnie i tutaj. Nie w łonie związku, ale na liniach jego działalności, które mogły uledez ścieśnieniu, lecz nigdy skrzywieniu.

Było jeszcze jedno pole pracy, otwierające się głównie przed kobietą polską zaraz z pierwszą wicią wojenną: nieustająca

czujność i opieka nad dolą żołnierską. Pole ciche, wdzięczne, kwieciste. Wstąpiły na nie polki niejednego miasta. Odwiedzały szpitale, gromadziły podarki dla żołnierzy, troszczyły się o wieczory wigilijne dla nich, zaopatrywały ich w bagatele może, ale ile było w każdej takiej drobini rumieńców ciepła, ile słońca — powiedzieć mogą ci szarzy niewolnicy okopów, witający jak relikwie wszystko, co przypominało kraj i swoich.

Pole to leżało w Charkowie odłogiem. Stężała na niem lodowa powłoka obojętności, dziwna w kolonii ruchliwej, twórczej, współczującej, a stężała do tego stopnia, że gdy inne centra emigracyjne, korzystając z wolności stowarzyszania, zakładają u siebie w ciągu wiosny *Towarzystwo Przyjaciół Żołnierza Polskiego*, u nas powstaje ono dopiero jesienią. Za to raz powstawszy, okazuje serdeczną troskę odrobienia cudzych zaniedbań, wynagrodzenia ospałości i chłodu. Praca rehabilitacyjna przeszła rychło w zasługę, a przeświadczenie wypełnienia szczytnego obowiązku, starczy pani Mieczysławie Łabuńskiej i Stanisławie Marchwickiej, niestrudżonym opiekunkom polskiego żołnierza, za bluszczowe powoje, kwiecące najgodniejsze czyny.

Korona kolonii, mistrze słowa i sztuk pięknych, nie poddali się duchowemu omdleniu, wiejącemu od trupich szlaków wojny. Pracowały pędzle, tworzyły pióra, kuł dłut, a acz nie sypał się z pod nich złoty deszcz gwiazd, widzieliśmy obrazy doskonałe, rzeźby niepospolite, strofy niezapomniane, jakgdyby jasna cząstka artystycznego nieba oderwała się od wielkiego firmamentu i pokryła tęczowym pyłem nasze jaźnie.

Artyści malarze: Puffke, Kuhn, Pichor, Sołowij, Jabłoński, Pstrak, Czerny, i malarze dekoracyjni: Packiewicz i Wierciak, tudzież przedstawiciele rzeźby: Ostrowski i Giecwicz sprezentowali na pociągającej wystawie okazały swój dorobek. Uznanie dla okazanej twórczości wzrośnie w dwójnasób, gdy zawadzimy o koczowiska i dziuple, w jakich przyszło polskiej muzie ustawiać sztalugi i rozpinać płótna. Zostawią też nasi artyści-plastycy wdzięczne wspomnienie, ale pozostawią i wyrzut. Ostatni jednak nie pod ich imieniem notowany. Zapiszą go pod adresem bogatej kolonii puste ściany parafialnego kościoła. Trzy długie lata, tyle uwięzionych pędzli — a wewnątrz świątyni świeci dalej artystyczną golizną. Na jej zatarcie pożałowano złotego kruszczu. Spłynie

on może kiedyś do kalety wędrownego par-tacza. Honor kolonii będzie uratowany. A sztuka? Pluton ignorował Apollina — dlatego, że ostatni był głównym bogiem Olimpu

Z pracowni Leopolda Staffa, magnetycznej więzi krytyków piękna, idzie w świat literacki: *Tęcza łez i krwi*. Nowy tom poezji, podwójnie ciekawy. Zawiera utwory, tłumione dawną cenzurą carską, a związane z obrazami wojny, nosi ślady odchylenia złotej iglicy poety, widne na literacko-twórczym jego kompasie. Tak charakterystyczna w olśniewającej twórczości Staffa metoda symboliczna ustępuje miejsca refleksyjno-filozoficznym pryzmatom, mniej dbającym o nastrój, a uwypuklającym tem dokładniej stronę ideową obrazów i zjawisk. Cenny zbiór wydał swoim nakładem Henryk Toeplitz. Nie szukający reklamy filantrop, patron każdej pięknej i pozytywnej myśli, zapisał chlubnie swoje imię w szczupłym rejestrze mecenasów literatury ojczystej.

Bronisława Ostrowska ujęła swoje po-etyckie utwory w wiele obiecujący tytuł: *Z raptularza*. Dopatrzymy się w nim z łatwością barw i tonów kobiecego talentu, więc dźwięcznej muzyki wierszowej, doskonałości rytmu i piękności rymu, bramują-

cych przeźroczystą głębinę uczucia i myśli duszy wzniosłej, wykwintnej.

Koło dramatyczne miało swoje świty i zmierzchy, symfonie i zgrzyty, zdobnictwa i okaleczenia. Przesunęły się przed nami cztery obrazy z „Kordjana“ — z wstrząsającym bohaterem Słowackiego, z Grzegorzem serdecznym, troskliwym, z żywiołową ciżbą mściwych spiskowców, ale i z dwiema porcelanowymi figurkami, Laurą i zalotną Violetką, mogącymi nawet u gumowych pajacy zapożyczyć życia i ruchu. Widzieliśmy nieśmiertelną Fredrowską „Zemstę“ ze staropolskim Cześnikiem, trafionym Dyndalskim, ale i niekomicznym Papkinem, mało interesującą Podstoliną, karykaturalnym Wacławem. Szczęśliwie przepłynęły widownię „Grube Ryby“ Bałuckiego, za to plątała się mocno w teatralnej sieci „Aszantka“ Perzyńskiego. „Wianek Mirtowy“ Żuławskiego zakwitł natomiast na scenie bez poważniejszego artystycznego szwanku. Zakwitł łzami, wywołując miejscami śmiechy, co pozostanie już tajemnicą psychiki publiczności.

Nie leżały odłogiem i inne działy życia, mimo leżącego z pod nóg gruntu. W wyteżonej walce o targany ogólną zamiecią dach bytu, dzierzgaliśmy wiązadła

z własnych płoż i klonów. Jedne—jak *Polskie Stowarzyszenie Pożytkowo-Oszczędnościowe* — nabrały szerokiego rozpięcia; drugie — jak *Żywność*, wykluwająca się z aptekarskiego pudzera — stworzyły przecież wzorzyste ramy ekonomicznej organizacji i solidarności. Budują i młodszy. Przebijający się sam jeszcze z książką przez życie Mieczysław Konarski kładzie serdecznym wysiłkiem na przyległym Osnowie zręby pod *Bursę* dla uczącej się, młodszej drużyny i ocala niejedną bratnią egzystencję od rozbicia na podnoszącej się, złowróżebnej fali.

Ściągają chmury. Ostatnie dni próby niejedna oślepi błyskawica, niejedyn zakłóci grom. Od naszej jednak głównie tężyzny i zwartości zależy, byśmy doczekali zbawienia słońca.

III.

(Stulecie zgonu Tadeusza Kościuszki. Idea i służba Naczelnika. Hołd kraju i emigracji. Narodowa dachina kolonii charkowskiej. Uniwersytet dla wszystkich imienia Bohatera. Dzień 2-go października. W kościele i w Domu Polskim. Chrzest i popis Sokoli. Apoteoza w teatrze).

Zaledwie odczuliśmy wśród palącego rewolucyjnego żaru chłodzący wiew strojnej

w koralowe bisiory jesieni—kiedy przypomniał nam czas, piastun odradzającego się bytu i wierny strażnik cmentarzy, że sto lat ubiegło, jak dzwony solurskie zapłakały pierwsze u trumny Tego, który ukazawszy ludowi polskiemu ziemię obiecaną, był mu Mojżeszem za życia a Jozuą po zgonie.

U mauzoleum duchowych wspomnień i śmiertelnych szczątków Bohatera spotyka się cały naród, kraj z emigracją pospół. Wszędzie wielkie święto: od sandomierskich łąnów po krasnojarskie tajgi i piaski Turkiestanu, od krakowskich chramów po stacje amurskie i kirgiskie jurty, od sinych fal Bałtyku po porochy dniewprowe i burjackie ułusy — wszędzie rozbrzmiewają Kościuszkowską chwałą lechickie gniazda i zaproza. A laur świeżo zazielenionych mazowieckich lasów składa na witeziowej trumnie nietylko Warszawa, nietylko z wawelskiego dworu ciągną spiżowe gońce na żałobny obrzęd u promienistego sarkofagu. Jaśniejąca na przeżywanym wstrząsie wieków postać Naczelnika, powstrzymała nawet raskolnictwo nowożytnego Babilonu i po latach męczeńskiej głuszy popłynął z poznańskiej fary złoty organ, grający wielkość i sławę polskiego Heruba.

Raławice rozwiązują zagadkę wiecznego bytu Kościuszki w narodzie. Rozbłyły one nietylko wojenną glorią, ale miłosną tęczę, wiążącą wieśniaczą strzechę z ziemią czystą. Złote hafty przetrwały radości i smutki wojny. Kojarząc minione wczoraj ze wstającym jutrem, były nam: pomnikiem i drogowskazem, urną i kołyską, cudownym łańcem zbożowym na gody galilejskie.

Raławice — to tylko zadatek wielkiego chłopskiego okupu za Ojczyznę.

Nie—Naczelnik narodowych sił zbrojnych, zrywający kosynierów do szarży na zionące działa, zasłużył na cześć i pamięć wieków, ale Jasnowidz, pomny, że tylko z chłopskich kości wstanie dostatecznie liczny mściciel krzywd ojczystych. Kościuszko „budząc krakowskie wieśniaki“, jakgdyby widział proroczym duchem, że potomek ich będzie orał w wirze granatów wielkiej wojny rodzimą skibę, a kiedy reszta narodu rozdzieli się na dwa obozy, szukając u obcych wiary zmartwychwstania — znajdzie ją chłop polski wśród własnych opłotków. Bo wiarą dlań—ten zagon ojczysty, ta ziemia Anteuszowa, odradzająca mimo głodu, ognia, moru i wojny.

Nie zawiodła spuścizna Naczelnika.

Chłop Kościuszkowski przemógł trójzaborowego chłopca cesarskiego i wypowiedział obcym haracz i jeństwo. A wypowiedział w obliczu tego samego kamienia krakowskiego rynku, na którym składał Kościuszek narodowi przysięgę.

Po marcu 1794 przyszedł maj 1917.

Kościuszkowski Komitet obchodowy wyłoniła w Charkowie Komisja wykonawcza stowarzyszeń polskich, której też przypada splendor inicjatywy złożenia przez naszą pozakresową kolonię wielbionym ideom i cieniem godziwego hołdu. W skład Komitetu weszli: p. Alina Dobronoki i pp. Gustaw Rozenblum, Włodzimierz Kuhn, Stanisław Tomacki, Felicjan Karśnicki, Stefan Wojciechowski, Zygmunt Wojciechowski, Aleksander Berka, Włodzimierz Skoraszewski i Stanisław Ostrowski. Zasłużony około sharmozowania polskiego życia w Charkowie p. Gustaw Rozenblum, został unanimiter powołany do objęcia steru prac komitetowych. Położył też około całego obchodu zasługi znaczne, niezapomniane. On to głównie sprawił, że święto Kościuszkowskie nie minęło nas przelotem tylko, on uposażył oglądany z uznaniem aparat dekoracyjny, on wreszcie zaoponował stanowczo przeciw

mdłym składankom, jakimi chciało skwitować uroczystość koło dramatyczne.

Dzięki inicjatywie p. Rozenbluma odczuto i zrozumiano tak w łonie Komitetu, jak i w nieodgrodzonych odeń nieprzebytym wałem kołach postronnych, że kult bohatera w momencie narodowej rezurekcji wymaga czegoś więcej, aniżeli spalenia woskowych świec u symbolicznej trumny i sztucznego ożywienia laurowym storczykiem i aktorską maską charkowskiej Arkadij. Tak obudzona dążność skojarzenia czci Naczelnika z trwałym narodowym pożytkiem, rzuciła śmiało kontury pod *Uniwersytet dla Wszystkich imienia Tadeusza Kościuszki*. Upamiętnia on najgodniej wielką chwilę i daje celny wyraz patryjotycznej dojrzałości naszej kolonii.

Zgodnie z nazwą — zamierzał Uniwersytet, około którego zasłużył się rychło tak wybitnie profesor D-r Teodor Mianowski, rozwinąć w Charkowie najszerszą akcję oświatową przez tworzenie kursów i kompletów różnych stopni, celem zaspokojenia umysłowych potrzeb rozmaitych warstw i grup o różnolitem naukowem przygotowaniu. W jego to orbitę weszły *Kursy uzupełniające*, doskonalące tak potrzebny zaniedbanej

wsi polskiej zastęp pionierów oświaty ludowej. A doskonalące przez rozszerzanie ogólnego horyzontu wiedzy i przyswajanie wychowankom seminarjów rosyjskich t. zw. „przedmiotów polskich“, o co zabiegało bezskutecznie do tej pory nasze nauczycielstwo, podejmujące z p. Tomackim na czele szlachetne, samorzutne próby podniesienia swojego wykształceniowego cenzusu. Pięknym i jędrnym — dzięki pp. Eugeniuszowi Białkowskiemu i Janowi Treterowi — korelatem uniwersytetu stały się *Wieczorowe Kursy Handlowe*, kształcące tak ważny dla budującej się Polski „stan trzeci“. Organizują się *Kursy Prawnicze*, *Kursy Rzemieślnicze i Fachowe*, *Kursy dla Analjabetów* i inne komplety, co wszystko dowodzi, że nie słomiany ogień zapłonął u roznieconego naukowego paleniska.

Sam uroczysty dzień 2 października stoi nam żywo w pamięci. Wdychamy dziś jeszcze tę ekstazę tłumów, przelewających się między Domem polskim a Kościołem katolickim, widnymi niby dwie strażnice, skute ogniwami braterskiego łańcucha, ocalałego ze smutnego stosu Derwidowych synów. Czujemy całe poblizie ustawionej w pośrodku świątyni symbolicznej trumny

z trójgwiezdnym proporcem narodowego relikwiarza, czapką, sukmaną i szablą Naczelnika. Lśnią nam w oczach wokół żalobnego postumentu w srebrzysty krąg rozrzucone pęki kos, pod straż oddane trzem w barwach ludowych dziewicom, niby trzem krakowskim westalkom raclawickiego żnicza. Wystrzela nam w duszy kwietny gaj chryzantemów, drzew wawrzynowych i krzewów laurowych, skąpanych w podwójnych blaszkach, bijących od kościelnych zyrandoli i ozdobionych w herbowe tarcze polskie kandelabrow. Nawet te złoto-czerwone liście, zwiędłe u podnóża klonów i dębów, wkruszone z takim artystycznym wdziękiem w malowniczy obraz kościelny przez mistrza Kuhna, który cały scenariusz uroczystości opracował i wykonał, nęcą nas dziś jeszcze smętkiem jesiennej chmury, strząsającej ostatek leśnej krasy na zastygłe piękno duszy ludzkiej. Nawet te dwa rzędy rozmodlonych dziewczeczek w czerwonych i niebieskich zawojach — zdają nam się jeszcze teraz dwoma łaanami kraśnych maków i błękitnych modraków, wykwitłymi u marów Naczelnika.

Przywodzą się nam na pamięć honorowe straże, zaciągane podczas nabożeństwa

na przemiany przez skautów, sokołów i żołnierzy — a ostatnich dużo, bo wyrobiony u wojennego charkowskiego komendanta rozkaz dzienny, zwolnił polaków wszystkich pułków kwaterujących w mieście w dniu tak uroczystym od służby garnizonowej. Miłą się nam w oczach łańcuchy pacholał, ubiegające w holdowniczym obrzędzie starsze pokolenie, jak młoda wiosna, wyprzedzająca różaną pozłotą dojrzałe bukiety letnich zbóż — a nadewszystko widnieje nam dostojna postać posiwiąłego w służbie kresowej, ongi żołnierza posłusznego styczniowej pobudce, powiernika Sienkiewiczowego i nestora kolonii, p. Aleksandra Kwiatkowskiego, rysującego płomieniem wymowy, łańkającej bratniego słowa, ogromnej rzeszy ludzkiej, całą światłaność i niespożytość największego Ofiarnika za ciemżoną wolność ojczystą i deptane prawa narodów.

A potem zdaje się nas dolatywać jeszcze srebrzysty gwar dziecinnych głosików, wibrujących szczęsnem weselem i serdecznym śmieszkiem w teatralnej sali Domu Polskiego, gdzie odbył się staraniem Związku nauczycielskiego poranek naszych milusińskich, którym uprzystępniła czyny, bitwy i zasługi Naczelnika w kolorowym wy-

kładzie p. Stefania Wędrychowska. Resztę programu wypełniły produkcje i koncepty samych dzieci, bawiących się najlepiej we własnym świątku, nie żałujących okłasków śmiałym aktorzykom i nadobnym aktorczkom. Wieczorna godzina zgromadziła w tej samej sali starszych, słuchających z rosnącym zainteresowaniem wymownych słów cenionego profesora Myszugi o dziełach i tradycjach Kościuszkowskich.

Przypomnijmy dla uwypuklenia całodziennego obrazu, że rozprzedaż widokówek i boletek zasilila fundusz uniwersytecki o 1800 rb., nie licząc 500 rb. ofiarowanych przez naszą udziałową księgarnię polską.

W dwa tygodnie potem przebiegł znowu przez naszą kolonię srebrny dźwięk hejnału, wystrzeliło w górę świeże płomień ofiarnicze, strojąc w różane obłoczne złocisty ryngraf Naczelnika. To Sokół Polski,

skupiony około Kościuszkowskiego bułata, święcił sztandary i brał narodowy sakrament bierzmowania

Była to jedna z tych uroczystości, które rozpylają pod obcym stropem rodzinne blaski słoneczne, pluszczą modrą falą ojczystą u stóp tęskniących tułaczy. Jedna z tych chwil uroczystych, po jakich unosiemy w duszy — wedle słów Zygmunta Kaweckiego — „czarodziejstwo wspomnienia“. Chrzest chorągwi sokolej u obcego dorzezcza, łopot jej amarantu w dalekiem polu ponad głowami chrobrej drużyny, przepasanej błękitną szarfą Raclawickiego Wodza, przyjęła w poczet niezniszczalnych godeł skalnego gniazda — to już nie litania pielgrzymia, a tryumfalna fanfara u archanielskiego popiersia Bohatera. Ale ustąpmy — miast kronikarskiej oprawy — dźwięcznego głosu samemu aktowi fundacyjnemu, godnemu wplecenia w narodowy różaniec:

W pierwszym roku wskrzeszenia niepodległej Polski a w stuletnią rocznicę zgonu bohatera narodowego Tadeusza Kościuszki, roku tysiąc dziewięćset siedemnastego, roku trwania wojny europejskiej, roku rewolucji Rosyjskiej, w mieście Charkowie, należącym do nowopowstałej republiki Rosyjskiej, w dniu 28 października (15

według starego stylu) w miejscowym Kościele odbył się uroczysty chrzest i poświęcenie sztandaru Charkowskiego gniazda „Sokoła Polskiego“, któremu to gniazdu nadano nazwę imienia „Tadeusza Kościuszki“. Sztandar amarantowy, przedstawiający sobą chorągiew (na drzewcu dębowym sokół metalowy w locie z napisem na jednej stronie: „Sokół Polski w Charkowie 1917 roku“ z 2-ma wstęgami: białą i amarantową), trzymał pierwszy chorąży gniazda druh Sabin Dłuski w asyście 3-ch par rodziców chrzestnych. Rodzicami chrzestnymi byli: Aleksander Kwiatkowski, lat 70, adwokat, stale zamieszkały w Charkowie z Aliną Dobronoki, Karol Trzetrzewiński, lat 40, inżynier, zamieszkały stale w Charkowie z Kazimierą Golianową, druh Tomasz Litwink, lat 26, majster introligatorski, zamieszkały czasowo w Charkowie z druhną Teofilą Czarkowską. Ku wiecznej rzeczy pamiętce wnosi się do niniejszego aktu, że Towarzystwo „Sokół Polski“ w Charkowie powołane zostało do życia w marcu r. b. przez rodaków: Leonarda Wenera, Czesława Ociepkę, Władysława Muszała, Józefa Plucińskiego — wszyscy wysiedleni z kraju i Kazimierza Goliana, stałego mieszkańca m. Charkowa, z których dwaj pierwsi, druhowie warszawskich gniazd, są technicznymi kierownikami, druh L. Werner naczelnikiem, druh C. Ociepka jego zastępcą. Pierwszy zarząd gniazda Charkowskiego ukonstytuował się jak następuje: Kazimierz Golian — prezes, Józef Pluciński —

vice-prezes, Włodzimierz Skoraszewski — sekretarz, Henryk Piotrkowski — skarbnik, Bolesław Tyski — gospodarz, Jerzy Służewski, Władysław Sawicki — zastępcy, którzy obowiązki swoje sprawują i w dniu dzisiejszym. Gniazdo nasze w dniu poświęcenia sztandaru liczy 382 członków. Siedzibą gniazda jest „Dom Polski“ na ulicy Gogoła. Akt niniejszy wpisuje się do księgi pamiątkowej, którą wraz ze sztandarem przechowuje prezes gniazda. Wiarogodność tego aktu stwierdzają własnoręcznymi podpisami rodzice chrzestni, chorąży i obecni członkowie zarządu gniazda.

Długo nie zmilknie ta żywiotowa burza oklasków, witająca w Domu Polskim świetlistego ptaka, zrywającego się do lotu z chorażwianych drzewcy, nie ścichnie ta estrada, z której słano hołdy i życzenia gniazdu, uwitemu w tem samem ostrowiu, gdzie niedawno jeszcze fagotem i półszepciem święcono styczniowe rocznice. Posypał się rój przemówień, niby iskry jasných, niby pszczelne ule sytnych — a ponad inne górowały życzenia najstarszych weteranów kolonii, dumnych, że tak piękne blaski zapalił dzień uroczysty u wieczornej ich zorzy. A nie tylko dumnych dziś, ale i zasłużonych półwiekiem wczoraj około tego cichego polskiego strumienia, sączącego wśród char-

kowskich mchów i głązów, który wytrysnął rano potężnym słupem tęczowym. Bez nich — byłaby cała uroczystość świętem kwiatów, weszłych na gazonach sztucznej cieplarni, barwnym, rozśpiewanym ogrodem wiszącym, im dzięki — wykwitła wiotką koroną zielonych szczytów, wspartych o kolumnę naturalnego pnia i ożywcze arkady swoistych konarów. Słusznie też należała się liliowa szata chrzestna sędziwemu p. Kwiatkowskiemu, słusznie rozumieliśmy, gdy powszechną czią otaczany p. Wilga składał życzenia imieniem najstarszego w Charkowie Polskiego Towarzystwa Dobroczyńności — że po za tym szlachetnym kwestarzem srebrnowłosym kryje się cząstka Ojczyzny, tu przez

starą emigrację—niby relikwia Eneaszowa— przyniesiona i wiernie strzeżona.

Ale świętujące gniazdo nie zadowolniło się sprezentowaniem barwy chorągwianych haftów, lśniących w żywej jasności pamiątkowego dnia — po ceremonii chrzestnej nastąpiła wielka rewia sił sokolich, sprawna, skrząca, mistrzowska. Podziwialiśmy lekcje i obrazy wolne, niektóre zdobywające sobie dopiero debiut na polskich zlotach, obserwowali z rosnącym zajęciem budowane piramidy, oklaskiwali zapamiętałe ćwiczenia łańcą, maczugą i chorągiewką, rozkoszowali się popisami na drążku — a każdy punkt programu wyżej pochwały, świadczył o tej rzetelnej, wytrwałej, miejscami wprost bajkowej pracy, jaka wrzeć musiała na sokolim boisku, jednym bogatym polu laurowym w dniu pierwszego popisu. Czuli też najlepiej odniesiony sukces ćwiczebne zastępy, gdy rozplamienione i wsłuchane w frenezję oklasków, porwały żywiołowym odruchem na uznojone ramiona ukochanych mistrzy pp. Ociepkę i Wernera, którzy wraz z druhami Maciejewskim i Muszałem dzierżyli komendę nad tryumfującymi szeregami.

Przyszły potem cztery niezapomniane wieczory, podczas których zaroїła się

nasza scena słonecznymi widmami z krwawej, raclawickiej miedzy. Pobudzona artystyczna drużyna poruszyła z posad teatralną ziemię i wystawiła Anczyca: *Kościuszkę pod Raclawicami*. A wystawiła nie tylko z pietyzmem, ale sukcesem, przechodzącym najśmielsze rachuby. Doprowadziła też entuzjazm biorącej szturmem teatralną salę publiczności do zenitu i zdobyła rekord scenicznej zasługi.

Ostatniej niech nie szukają zawodowi aktorzy w ogranych, stosunkowo łatwych rolach — tkwi ona w fakcie wystawienia dźwięcznej, narodowej sztuki w dalekim Charkowie, w ramach i warunkach stojących do artystycznej dyspozycji. Tkwi w ogrzaniu i podniesieniu serc, w wyczerowaniu nam ojczystej bliży. Jeżeli też teatr bywa w wiekowe rocznice sławnych bohaterów najcelniejszym miejscem ich apoteozy, nie mogło nasze koło dramatyczne chlubniej wypełnić szczytnego swojego zadania.

Ale i nasi amatorzy walną położyli zasługę około przepięknego, scenicznego hołdu. Włożyli w kreowane role cały posiadany kunszt, złoty zapal i wystudjowanie najdrobniejszych nawet szczegółików, starając się nie uronić z Kościuszkowskiego

raprodu ani półdźwięku, ani jednej malowniczej freski. Taki Nicefor p. Reuta godny był wielkiej sceny. Sekundował mu dzielnie Onufry p. Piotrkowskiego. Serdeczna zamazyłość p. Grodzickiego (rzeźnik Dutkiewicz) i ognista wybuchowość p. Brzeskiego (radny Sztumer) dały nam typy mieszczańskie, łądząco żywe. Radny Laszkiewicz był oddany przez p. Popłonika z precyzją i wytwornym komizmem, świadczącym bardzo dodatnio o wykonawcy. Arcydzielnie spełnił komiczne swoje zadanie poczmistrz Kaspary w doskonałej interpretacji p. Morozewicza, jakby ulanego do roli Katkowa, pokiereszowanej przez p. Rodakowskiego. Pomysłowo zagrał szewca Sikorskiego p. Dobrzyński. Wogóle sceny na rynku krakowskim wybiły się pogwarem i bujnością życia ponad inne, acz sceny wsiowe i kosynierskie wypadły również malowniczo, szkoda, że miejscami bez refleksów świetlnych. Głowacki i Świstacki udali się, jako zuchowate, szczerre typy chłopskie, pp. Służewskiemu i Kostrzeńskiemu najzupełniej. Starościna Szujaska p. Markiewiczowej podbijała wprost świetnie utrafionem dostojnością matrony

polskiej, a p. Żędzianówna w roli Bartoszowej przeszła nieskalanie przez scenę, świątecznie nastrojona, smętna, jakby ze łzami jutrenki w oczach.

Oto w nieudolną ujęta oprawę struna, wpleciona przez polski Charków w wielodźwięczną harfę narodową u Kościuszkowskiej gontyny. Bez helikońskich tonów, zrywających dębowe wieńce w muzycznym turnieju, rozbrzmiała ona serdecznym gwarem polskiej duszy, akordem dumy z powodu udziału w narodowej pieśni nad pieśniami. Roztrącała szczerem lotem przestrzenie dzielące nas od kraju. Nie tknęła jej skaza czającej się wokół atmosfery. Równie dobrze nie przytłoczyły jej wyrosłe za jedną noc rewolucji lodowe góry indyferentyzmu, jak nie opaliły skrzydeł widne co krok ogniste kratery o lawie niszczącej.

I dlatego może wspomnienie Kęćsuskowskiej rocznicy mieć dla nas w powrocie do kraju czar świętości grudki ziemi, zabieranej w medaliony czy węzełki, przez wychodźców z Ojczyzny.

D-r Alfred Brandowski.

*

*

*

Łatwiej perłę odnaleźć rzuconą w mórz tonie,
 Łatwiej gwiazdy policzyć na niebie w noc chmurną,
 Łatwiej w locie prześcignąć wicher, co w polu wieje,
 Niżli z serca ludzkiego dobyć echo bratnie.

Tchem jednakim stworzone wśród wieków przez Ducha
 Wspólną dolą — tęsknotą znaczone bezmiennie —
 Dziś smutnym szlakiem życia idą obojętne
 Na ból i krzywdę bratnią — wciąż sobie dalekie.

Czasem jeno zabłyśnie cudny promień duszy
 I ofiarą dla innych rozpali się czystą —
 Lecz rażony szyderstwem, zdławiony martwością,
 Gaśnie w ciszy bez echa, w koronie męczeńskiej.

I znówu w kole życia, zaklętym przez losy,
 Snują się maski — ludzie o sercach zamkniętych;
 Aż kiedyś piorun prawdy rozszczępi je bólem
 I drgające miłością rzuci wraz ku sobie.

J. Waściszakowska

Stefanja Musiałowska.

J A Ś P I E W A Ć C H C Ę .

Ja śpiewać chcę, choć walka wre,
choć świszczą w okół kule,
Choć ruin wał i stopy ciał,
łzy płyną z ocz, z serc bóle.
Nad broni stuk, nad armat huk,
Krzyk hardy w przestrzeń ślę.
W płonący stos rwie się mój głos;
ja śpiewać, śpiewać chcę.

Ja marzyć chcę, choć wszystko się
druzgoce po kolei,
Wymarzę raj, błękitny kraj,
kraj wiary, kraj nadziei.
I wejdę tam, do szczęścia bram,
z czuciem co w piersi wre,
Z popiołów, szmat, ja wskrzeszę świat!
ach! marzyć, marzyć chcę.

Ja kochać chcę bojowe dnie,
jątrzące w piersiach rany,
Zastygłą krew, liść spadły z drzew,
mogiły i kurhany.
Pałaszów trzask, szczęk głuchy kask,
poległych duchy te,
Co ku nam swą otuchę ślą.
ja kochać, kochać chcę!

Ja walczyć chcę i siły swe
podwając z wściekłą mocą.
Upadłszy — wstać, krew ciepłą lać,
dzień widzieć po za nocą.
I w walce tej, o Polski swej
przyszłości jasnej śnić,
Z ostatnich tchnień, zwycięstwa dzień
wyczuć. Ja pragnę żyć!!

„Czeka Nas Wawelski Dwór“.

W pośród gradowych, ciemnych chmur
Milion nam nowych błysnął słońc

Zza gór...

Zza srebrnych gór,
Jak pereł sznur

Wije się ku nam złoty blask:
Wolności Świt!

Już Wyzwolenia nastał czas...

Potęga wieków wzywa nas

Przez krew

I znój,

Przez szal

I bój

Zaprzeczonych dni —

Przez krew, co lśni

Rubinem zórz,

By Polska wstała aż do mórz!...

Przez potępieńcze skargi mąk

Wzywa nas tam,

Gdzie olbrzymieje Święty Chram —

Gdzie Świt...

Hańbą niech będzie Ojców Grób,
W którym szkieletu zwiędły trup
Nie zadrgnie nam na odgłos trąb!...

Gdzieś dnieje...

Gdzieś daleko

Opada trumny zwiędłej wieko,

Gdzieś świt...

Cyt!...

Z dalekich Tatr

Kołysze wiatr

Pancerny szum...

Powstańmy z dum,

Bo oto Świt...

Cyt!...

Hasło, z ojczystych leci stron!...

Słyszysz?:

pancerny dzwoni chór,

Jak w śnie,

Że:

„Czeka Nas Wawelski Dwór“!...

Jerzy Rychter

BRONISŁAWA OSTROWSKA

TRÓJŚPIEW.



A W TE GROBY, W TE OKOPY
SIŁĄ JĘTO POLSKIE CHŁOPY.

— A ZIEMIA IM ŚPIEWA —

AZALIM CI TO SKĄPIŁA ZŁOTEGO ZIARNA?

AZALIM CI TO NIEMIŁA, JAK DZIEWKA HARNA?

UMAŁAM CI SIĘ W ZIELE,

JAKO DRUCHNA NA WESELE,

NA NASZE GODY, MÓJ MŁODY,

NA NASZE GODY!

O, JAKOŻEM SIĘ STĘSKNIŁA W CZEKANIU DŁUGIEM:
WSZYSTKIEM BRUZDY WYPATRZYŁA ZA TWOIM PŁUGIEM!

ZAPŁAKAŁAM CI SIĘ ROSĄ
ZA TWYM SIERPEM, ZA TWĄ KOSĄ,
ZA ZŁOTYM SIEWEM, DA ŚPIEWEM,
ZA ZŁOTYM SIEWEM.

POMNISZ, JAKOŚ GRAŻYŁ GARSCIE W ZASIEWNEM ŻYCIU,
GDY DYMIŁY MGLĄ OBEJŚCIA O WCZESNYM ŚWICIE?

A TERAZ MNIE WROGI SIEJĄ
NIENAWISTNYCH KUL ZAWIEJĄ!

OCH, MÓJ SIEWACZU, TUŁACZU!
OCH, MÓJ SIEWACZU!

POMNISZ, JAKOŚ KOSIŁ Z ROSĄ WONNĄ OTAWĘ,
ODBŁYSKUJĄC ZŁOTĄ KOSĄ W SŁOŃCE JASKRAWE?

A TERAZ TY SAM W POKOSIE,
JAK TA TRAWA, JAK TO KŁOSIE,

OCH, GOSPODARZU, KOSIARZU!
OCH, GOSPODARZU!



A Z TYCH GROBÓW, Z TYCH OKOPÓW
NA RZEŻ GNANO POLSKICH CHŁOPÓW
— A ZIEMIA IM ŚPIEWA —

NAPRZÓD WIARA! DALEJ HURRA!
NIEMASZ CHŁOPA NAD MAZURA!
BO W MAZURZE TAKA DUSZA,
ŻE CHOĆ UMARŁ TO SIĘ RUSZA.

NAPRZÓD WIARA! MOJE ŁONO
W KAŻDEJ BRUŹDZIE POHAÑBIONO:
KAŻDA BRUŻDA ROZKOPANA,
JAK ZAPIEKŁA KRWAWA RANA
JĘCZY, BLUZGA KRWIĄ Z POD STOPY,
KRZYCZY, — SŁYSZYSZ: — MŚCIJCIE CHŁOPY! —
JEZUS MARYA! — KOSA W DŁONI! —
W TO, — CO CHŁOPU ZIEMI BRONI,
CO ODRYWA WAS DAREMNIE
Z MOJEJ PIERSI, Z CHAT, ÓDEMNI!

JEZUS MARYA! — NASZE HASŁO.
JEZUS MARYA! — SKĄD ODWRZASŁO?
SKĄD? GDZIE WRÓG? TO SWOII! SWOII!
STÓJ — BIJ — DOŚĆ. —

COŚ KOI — KOI

W SERCU — CZY TEN KRZYK — CZY KULA —?
PRZESZŁO WSZYSTKO. — JA MATULA —
JA UTULĘ — JA PRZYGARNE,
W DOBRE RĘCE — W SKIBY CZARNE —
W CZARNE GROBY — W KRUCZE PIÓRA —
— NIEMASZ CHŁOPA NAD MAZURA. —



A W TE GROBY, W TE OKOPY
SNOPEM LEGŁY POLSKIE CHŁOPY
— A ZIEMIA IM ŚPIEWA —

OJ, BĘDĄ CHODZIĆ SZEROKIE WIATRY POLAMI,
OJ, BĘDĄ PŁAKAĆ, OJ, BĘDĄ SZŁOCHAĆ NAD WAMI.

OJ, PADNIE NA WAS GRUDA JESIENNA I ŚNIEGI,
OJ, PÓJDA PO WAS NOWE BRATERSKIE SZEREGI.

OJ, NOWEM SŁONKIEM BĘDĄ SIĘ ŚMIAŁY NIEBIOSY
W OCZY TĘSKNIĄCE, W OCZY WYŻARTE OD ROSY.

LECZ WASZE GROBY LEMIESZ—ŻYWICIEL ZAORZE,
A DŁOŃ SWOJACKA ZŁOTE POSIEJE W NIE ZBOŻE.

I ŁAN NAD WAMI, I ŁAN KŁOSISTY WYBUJA
NA CHLEB OFIARNY — CIAŁA I KRWI ALLELUJA!

Spis rzeczy.

	<i>str.</i>		<i>str.</i>
ŚWITANIEM — <i>Alfred Brandowski</i>	3	SAMOTNY DOM — <i>Eugeniusz Świerczewski</i> .	38
SŁAWA KOŚCIUSZCE — <i>Franciszek-Xawery</i> <i>Pusłowski</i>	7	NASZE POKŁOSIE — <i>D-r Alfred Brandowski</i>	39
TADEUSZ KOŚCIUSZKO — <i>Awicz</i>	12	* * * wiersz — <i>Janina Waściszakowska</i>	57
KOŚCIUSZKO — <i>Krzysztof Radziwiłł</i>	22	JA ŚPIEWAĆ CHCĘ — <i>Stefanja Musiałowska</i>	58
WITRAŻE FRANCISZKAŃSKIE — <i>Leopold</i> <i>Staff</i>	24	CZEKA NAS WAWELSKI DWÓR — <i>Jerzy</i> <i>Rychter</i>	59
Z WYGNAŃCZEJ GĘŚLI	26	TRÓJŚPIEW — <i>Bronisława Ostrowska</i>	60
PIERWSZY RAZ W OGNIU — <i>Choraży R.</i>	33		



7

24281